

Powiat



Nr 1-2 (155-156), Styczeń-Luty 2014
Rok XIV * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Powiat słupski znowu najlepszy
Rynki wymuszają aktywność

Bibliotece stuknęło 65 lat

Malarki - jubilatki

Pokonała samą siebie

Na wesoło i poważnie

Zafascynowało go morze

Słupski Kolekcjoner

Wieś Tworząca



IX POWIATOWY TURNIEJ KÓŁ GOSPODYŃ WIEJSKICH
JEZIERZYCE, LUTY 2014



Drodzy Czytelnicy!

Powoli zbliża się czas, w którym ocenie poddana zostanie działalność samorządów w kończącej się kadencji. Mass media już zapowiadają akcje, których celem jest wskazanie najlepszego wójta, burmistrza, prezyden-

ta, radnego czy starostę - w kontekście osiągnięć i porażek w mijającej kadencji. Każda ocena zawsze pozostawia coś dobrego. Pozostawiać powinna! Wyprzedzając niejako cenzurki, które niebawem pojawią się także przy moim nazwisku, chciałbym powiedzieć, że mnie szczególnie cieszy to, że w mijającej kadencji rozwinęła się współpraca powiatu słupskiego z samorządami gminnymi, która sprzyja pozyskiwaniu środków zewnętrznych i wspólnej realizacji inwestycji, w tym szczególnie drogowych.

Myślę, że mogę też z dumą podkreślić, iż mieszkańcy naszego powiatu coraz częściej angażują się w sprawy publiczne, mówią głośno o swoich potrzebach. Ich świeże spojrzenie na wiele kwestii często pomaga w podejmowaniu decyzji. Powiat nasz jest z roku na rok coraz bardziej rozpoznawalny w kraju, pozytywnie kojarzony jest z inwestycjami, w tym również z energetycznymi. Nasi mieszkańcy chętnie uczestniczą w wydarzeniach kulturalnych, sami podejmują się znaczących przedsięwzięć, wyzwalających inicjatywę i przyczyniających się do większej integracji społecznej.

Zawsze jednak pozostają sprawy niedokończone, trudne, których załatwienie wymaga więcej czasu. Taką sprawą jest na przykład utrzymujące się bezrobocie i potrzeba wspólnego finansowania z miastem Słupskiem Powiatowego Urzędu Pracy. Ostatnio urząd ten oceniony został jako jeden z najskuteczniejszych w kraju pod względem tworzenia miejsc pracy. Wyróżniono go za to prestiżowym Medalem Pro Publico Bono. Ale ma też swoje problemy, od kilku lat brakuje mu funduszy na utrzymanie na odpowiednim poziomie zatrudnienia. Chociaż obowiązuje nas z miastem odpowiednie porozumienie w tej sprawie, to - jak się okazuje - obu naszym samorządom nie zawsze wystarcza czasu i przede wszystkim pieniędzy, by skutecznie załatwić ten problem.

Dobre zarządzanie wiąże się zawsze z podejmowaniem trudnych decyzji, a dla takich, niestety w samorządach zawsze będzie miejsce. Dlatego my, samorządowcy musimy być na to przygotowani i nie powinniśmy - myślę - bać się surowych ocen, zwłaszcza przy kończącej się kadencji. Najważniejsze, żeby w swoim działaniu kierować się zawsze dobrem mieszkańców.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

W numerze:

- Samorządowe plany i przedsięwzięcia4
- Wojewoda wręczył medale.....4
- Powiat słupski znowu najlepszy w kraju ...5
- Moim marzeniem był nowy szpital6
- Lepiej się przebadać.....7
- Zapisali w kadrze8
- Myślistwo to nie tylko polowania8
- Rynki wymuszają aktywność
gospodarczą 10
- Biblioteczki stuknęło 65 lat12
- Malarki - jubilatki14
- Zaśpiewali jak profesjonaliści 16
- Kapryśna królowna Gburka..... 16
- Dawne cmentarze w publikacjach 18
- Pokonała samą siebie..... 18
- List do świata 20
- Zasłużony muzealnik..... 21
- Dyrektorka - animatorka 22
- Na wesoło i poważnie 23
- Poznajmy Rosję 25
- Zabytki nasze - wasze 26
- Zatrzymuje czas błyskiem flesza..... 29
- Zafascynowało go morze 30
- Plebańce pod Brasławiem 32
- Mój i „Jej portret” 34
- Miłosne wariacje 36
- Zwycięstwo i klęska hrabiego von Spee... 37

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje: **Zbigniew Babiarz-Zych**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Wiosenne przycinanie drzew; nowy most nad kanałem portowym w Uście.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

Samorządowe plany i przedsięwzięcia

Pierwszy w tym roku Konwent Samorządowców Powiatu Słupskiego zorganizowano w „Kormoranie” w Rowach

Konwent odbył się 27 i 28 lutego br. Rozmawiano przede wszystkim o wykorzystaniu Funduszu Pracy i Europejskiego Funduszu Społecznego na łagodzenie skutków bezrobocia i aktywizację zawodową oraz o szkoleniach pracowników samorządowych. Na zaproszenie starosty słupskiego Sławomira Ziemanowicza w konwencie wzięli nim udział: Czesław Elzanowski - członek Zarządu Województwa Pomorskiego, Jerzy Barzowski - radny wojewódzki, Ryszard Stus - przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego, wicestarosta Andrzej Bury i Edward Sasko - członek Zarządu Powiatu Słupskiego. Na początku starosta podkreślił znaczenie Rowów w rozwoju turystycznym gminy Ustka i powiatu słupskiego. Przypomniał, że poza sezonem letnim miejscowość tę zamieszkuje tylko ok. 400 mieszkańców. Ich liczba zaczyna rosnąć z nadejściem długiego majowego weekendu, a w wakacje w Rowach trudno znaleźć wolne miejsca noclegowe. Morze i bogata natura przyciągają tysiące turystów. Nic dziwnego, że latem Rowy urastają do rangi turystycznej miejscowości, ale poza sezonem ludziom nie żyje się tutaj łatwo.

Pierwsze wystąpienie miał Leszek Kuliński - wójt gminy Kobylnica, który mówił o przeprowadzonym audycie gminnych urzędników. Poddano mu każdego z 51 pracowników, również wójta, a celem była obiektywna ocena kompetencji i

wprowadzenie niezbędnych modyfikacji w zarządzaniu. W efekcie ma się to przyczynić do lepszej obsługi mieszkańców gminy. Wójt poinformował również o wspólnym programie szkoleń przygotowanym dla urzędników swojej gminy i gmin z powiatów: słupskiego, bytowskiego, lęborskiego i sławieńskiego. Oczekuje, że w ten sposób szkolenia staną się tańsze i będą efektywniejsze.

Kolejnym omawianym zagadnieniem była organizacja 26 kwietnia br. w Słupsku przez Polską Filharmonię Sinfonica Baltica koncertu z okazji kanonizacji Jana Pawła II. Bogdan Jarmołowicz - dyrektor Filharmonii i z Jerzy Mazurek - pełnomocnik dyrektora ds. ekonomicznych i organizacyjnych zachęcali samorządowców do wsparcia tego ważnego wydarzenia i włączenia się samorządów w jego organizację. Natomiast Robert Czyż i Barbara Niesterowicz ze Stowarzyszenia „Bezpieczny Region Słupski” omówili realizowane dotychczas przez stowarzyszenie programy adresowane do dzieci i młodzieży. Zaproponowali gminom włączenie się do organizacji turnieju „Prewencja ale inaczej 2014”, którego celem jest promowanie zdrowego stylu życia poprzez propagowanie aktywnych form wypoczynku.

Z dużym zainteresowaniem samorządowców spotkała się prezentacja nowych technologii wykorzystywanych przy

budowie dróg, przygotowana przez spółkę Wapeco. Marek Michalik i Adam Barcz z tej spółki zachęcali do korzystania z innowacyjnych i ekologicznych materiałów stosowanych na budowach, prezentowali też zrealizowane już inwestycje.

Czesław Elzanowski i Adam Krawiec - dyrektor Departamentu Edukacji i Sportu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego w Gdańsku przybliżyli programy realizowane przez samorząd województwa. Poinformowali też o projektach, na które będzie można ubiegać się o środki finansowe. Szczegółowo wyjaśnili, kto będzie się mógł o nie ubiegać i jakie będą musiały być spełnione warunki.

Ostatni temat samorządowcom przybliżył Janusz Chałubiński - dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku. Poinformował o budżecie na 2014 rok. Zgodnie z decyzją Ministra Pracy i Polityki Społecznej PUP w Słupsku otrzymał na ten rok prawie 16 milionów zł na promocję zatrudnienia, łagodzenie skutków bezrobocia i aktywizację zawodową. Dyrektor opowiedział też o projekcie „Dojrzałość to mój atut” skierowanym do osób powyżej 50 roku życia i współfinansowanym przez Europejski Fundusz Społeczny.

Daria Wojtas
Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku

konwent

Wojewoda wręczył medale

27 stycznia uroczyste obchodzono Dzień Pracownika Publicznych Służb Zatrudnienia

W słupskim starostwie odbyła się konferencja, w której uczestniczyli: Ryszard Stachurski - wojewoda pomorski, Sławomir Ziemanowicz - starosta słupski, Ryszard Stus - przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego, Edward Zdzieborski - wiceprezydent Słupska, przedstawiciele władz gmin powiatu słupskiego oraz pracownicy Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku, z jego dyrektorem Januszem Chałubińskim. Spotkanie stało się okazją do nagrodzenia zasłużonych pracowników Powiatowego Urzędu Pracy. Złote medale za Długoletnią Służbę otrzymali:



Fot. D. Wojtas

wyróżnienia

Związek Powiatów Polskich ogłosił listę laureatów Ogólnopolskiego Rankingu Gmin i Powiatów 2013 roku. Ponownie na pierwszym miejscu w kategorii powiatów do 120 tysięcy mieszkańców znalazł się powiat słupski



Powiat słupski znowu najlepszy w kraju



Fot. J. Maziejuk

Celem organizowanego przez ZPP rankingu jest wyłonienie i nagrodzenie najlepszych samorządów w kraju, promowanie ich, a także integracja mieszkańców i środowisk samorządowych. Uroczyste ogłoszenie wyników połączone z wręczaniem dyplomów odbędzie się podczas Kongresu Regionów w Świdnicy w dniach 10-12 czerwca br.

Powiat słupski uzyskał też honorowy tytuł „Dobry Polski Samorząd 2013”. Wcześniej był już laureatem tytułu „Super Powiat”. Na drugim miejscu w zestawieniu 2013 roku uplasował się powiat tomaszowski, a na trzecim powiat piotrkowski. W sumie sklasyfikowano trzydzieści powiatów. W kategorii miast na prawach powiatu zwyciężyła Legnica, drugi był Słupsk, a trzeci Nowy Sącz. Z kolei w rankingu gmin wiejskich pierwsze miejsce zajął Chełmiec, drugie Kobylnica, a trzecie Wielka Wieś.

Ogólnopolski Ranking Powiatów i Gmin prowadzony przez Związek Powiatów Polskich oparty jest na zasadzie bezpłatnego i dobrowolnego uczestnictwa wszystkich samorządów szczebla gminnego i powiatowego. Ranking jest jedynym w Polsce tego rodzaju przedsięwzięciem, zarządzanym na bieżąco przez ekspertów w trybie on-line. Zwycięstwo danego samorządu wiąże się z przyznaniem tytułu „Dobry Polski Samorząd”. Ranking prowadzony jest w podziale na sześć kategorii: powiaty

do 60 tys. mieszkańców, powiaty od 60 do 120 tys. mieszkańców, powiaty powyżej 120 tys. mieszkańców, miasta na prawach powiatu, gminy miejskie i miejsko-wiejskie oraz gminy wiejskie.

Zakończona właśnie edycja trwała od 1 stycznia do 27 grudnia 2013 roku. W tym czasie oceniano samorządy według ściśle określonych kryteriów. Punkty przyznawano za: działania proinwestycyjne i prorozwojowe, rozwiązania poprawiające jakość obsługi mieszkańców i funkcjonowania jednostki samorządu terytorialnego, rozwój społeczeństwa informacyjnego, rozwój społeczeństwa obywatelskiego, umacnianie systemów zarządzania bezpieczeństwem urzędu, promocję rozwiązań z zakresu ochrony zdrowia i pomocy społecznej, promocję rozwiązań z zakresu edukacji, kultury i sportu, wspieranie działań na rzecz społecznej gospodarki rynkowej, promocję rozwiązań ekoenergetycznych i proekologicznych, współpracę krajową i międzynarodową, działania promocyjne.

Ranking Powiatów 2013 roku powiat słupski zakończył z wynikiem 52830 punktów.

Mariusz Smoliński, Słupsk

Janusz Chałubiński, Renata Kołodziejczyk, Andrzej Kuc, Jan Mołdoch, Romuald Szczepaniak, srebrny - Joanna Ślusar i brązowy - Anna Trofimowicz.

Wśród wyróżnionych znalazły się też pracownice Starostwa Powiatowego: Halina Jadowszczak (złoty), Aleksandra Staniuk (złoty), Maria Janusz (srebrny).

Ponadto czterdziestu trzech pracowników otrzymało listy gratulacyjne od Starosty Słupskiego i Prezydenta Miasta Słupska oraz władarzy gmin powiatu słupskiego. Uhonorowano

także osoby wyróżnione w plebiscycie pracowniczym Powiatowego Urzędu Pracy: Sylwię Stenkę - jako „Profesjonalistę Roku”, Grażynę Ropiak - jako „Najsympatyczniejszego Pracownika Roku” i Marzenę Der „Za szczególne osiągnięcia w pracy zawodowej”.

Podczas konferencji podsumowano również I edycję konkursu dla pracodawców i przedsiębiorców pn. „Nowoczesne miejsca pracy w 2013 roku”. Skierowano go do osób, które skorzystały z dotacji na rozpoczęcie działalności gospodarczej oraz firm, które utworzyły nowe stałe miejsca pracy w Słupsku i powiecie słupskim. Wśród laureatów znaleźli się: Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Słupsku, Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej w Słupsku, Zakład Doskonalenia Zawodowego w

Słupsku oraz gminy: Dębica Kaszubska, Kobylnica i Kępice. Nagrodzono również firmy prywatne: Artistell Emiliana Chmielowskiego oraz przedszkola „Zielona Dolina” i „Kraina Uśmiechu” prowadzone przez Iwonę Majkowską i Monikę Gluch.

Artystycznie całą uroczystą konferencję oprawił kwartet smyczkowy.

Dzień Pracownika Publicznych Służb Zatrudnienia ustanowiony został nowelizacją ustawy o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy w grudniu 2010 roku. Przypada 27 stycznia w rocznicę podpisania w 1919 r. przez Józefa Piłsudskiego Dekretu o organizacji państwowych urzędów pośrednictwa pracy i opieki nad wychodźcami. Dziś dokument ten jest powszechnie uznawany za początek Publicznych Służb Zatrudnienia w Polsce. **(MS)**



Ludzie związani aktywnie z regionem są nam często nieznani, natomiast efekty ich pracy są widoczne na co dzień. Warto bliżej poznać takich ludzi

Moim marzeniem był nowy szpital

Ryszard Stus od 2004 roku kieruje jednym z trzech największych szpitali w województwie pomorskim - Szpitalem Specjalistycznym im. Janusza Korczaka w Słupsku. Kierowany przez niego szpital obsługuje obszar daleko sięgający poza miasto i powiat słupski. Zapewnia opiekę ok. 400 tysiącom mieszkańców. W jego ramach działają integralne placówki: w Słupsku przy ulicy Hubalczyków z zespołem poradni specjalistycznych oraz w Ustce - oddział położniczo-ginekologiczny z patologią ciąży i neonatologiczny z patologią i intensywną terapią noworodka. Jest to także jeden z największych zakładów pracy w regionie, zatrudnia ponad 1300 osób, w tym 240 lekarzy, 614 pielęgniarek i położnych. Stanowi nowoczesną bazę szkoleniową dla studentów wydziałów pielęgniarstwa i ratownictwa Akademii Pomorskiej w Słupsku. Podobnie jak inne szpitale w województwie pomorskim jest przewidziany do przekształcenia w spółkę prawa handlowego ze 100-procentowym udziałem Marszałka Województwa Pomorskiego.

Budowa obiektów, do których przeniesiono niedawno szpital trwała 25 lat, mimo że skrupulatnie były zbierane na jej dokończenie społeczne fundusze w ramach tzw. „dobrowolnej” składki od każdego mieszkańca byłego województwa słupskiego. Oficjalnie inwestycja miała być finansowana z pieniędzy budżetu państwa, ale w rzeczywistości złożyła się na nią większość mieszkańców regionu. Od początku 1986 roku „Głos Pomorza” drukował numer

konta bankowego, na które można było wpłacać składkę na budowę szpitala i prezentował listę ofiarodawców razem z wysokością kwot. Ostatecznie problem rozwiązał Marszałek Województwa Pomorskiego podejmując w 2004 roku stosowane decyzje finansowe.



Fot. J. Maziejuk

W tym miejscu warto przypomnieć, że mocno zaawansowana budowa nowego szpitala w Koszalinie została przeznaczona do rozbiórki. Natomiast taki los nie spotkał budowy szpitala w Słupsku.

Kamień węgielny pod budowę wmurowano 19 września 1986 roku. Lokalizację przewidziano wzdłuż ulic Hubalczyków i Westerplatte. Jakie były plany, a jaka nas zastała rzeczywistość?

- Według zamierzeń publikowanych w 1986 roku teren nowego szpitala w Słupsku miał zajmować 13,5 hektara. Same budynki - 2,25 ha, 4,2 ha - drogi i chodniki, a tereny zielone aż 6,3 ha. Jak zaznaczali budowlanci, były to zamierzenia tylko na pierwszy etap budowy, ponieważ w drugim etapie szpital miał zwiększyć powierzchnię o kolejne pięć hektarów. Główny budynek szpitala miał mieć 100 metrów długości, 25,2 metra szerokości i był przewidywany na wysokość siedmiu pięter. Nowy szpital miał mieścić 650 łóżek. W 1986 roku koszt

budowy szpitala nazywanego wówczas Wojewódzkim Szpitalem Zespołowym szacowano na siedem miliardów złotych. Jak wtedy podkreślali inwestorzy, suma ta obejmowała również wyposażenie szpitalnych budynków i zakup urządzeń diagnostycznych. Nikt tylko nie przewidział, że w szczególnych warunkach polskiej transformacji budowa będzie trwała ćwierćwiecze - mówi obecny dyrektor szpitala Ryszard Stus. - Tym, co mnie trzymało przy realizacji tej inwestycji, to była świadomość, że kiedyś się musi zakończyć. Na szczęście żyjemy w czasach, w których spełniają się marzenia. Dla mnie trwało ono bez przerwy od 2004, a właściwie od 1976 roku, gdy jeszcze jako student IV roku zostałem namówiony do przeniesienia się z Trójmiasta do Słupska przez ówczesnego dyrektora szpitala, dr. Zbigniewa Nergę. Mój, nieżyjący już poprzednik zważył mnie wizją budowy nowego szpitala. Z pewnością łączy nas jedno: marzycielstwo. W moim przypadku - spełnione, choć po latach, w przypadku doktora Nergi - niestety, nie, bo nie dożył okresu, kiedy szpital rozpoczął pracę.

- Kilka lat przed przeprowadzką do nowego obiektu musiałem przygotowywać restrukturyzację szpitala. Zarządzałem równocześnie funkcjonującym szpitalem i koordynowałem ostatni etap budowy nowych obiektów - mówi R. Stus. - To był najcięższy okres w moim życiu i życiu wszystkich pracowników, zakończony jednak udanymi przenosinami, bez przerwy w pracy szpitala. Nowy Szpital Wojewódzki w Słupsku jest jednym z najnowocześniejszych szpitali w Polsce i Europie. Może być przykładem odważnej i trafnej decyzji samorządu, który we właściwym czasie postanowił kontynuować inwestycję z ponad 20-letnią historią. Decyzja ta wymagała odwagi, ale przede wszystkim żelaznej konsekwencji w dążeniu do zakończenia budowy. 26 września 2011 roku dokonaliśmy

Lepiej się przebadać

uroczystego otwarcia szpitala i udostępniłmy nowe obiekty mieszkańcom regionu. Generalnie około 80 procent poniesionych wydatków pochłonęła budowa i jej przygotowania, a 20 procent zakupy sprzętu. Prawdopodobnie całkowity koszt szacunkowy wyniósł po przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze około 550 milionów złotych. Dziś szpital ma roczny budżet zamykający się kwotą 170 milionów złotych.

A jakie problemy ujawniły się po trzech latach funkcjonowania szpitala w nowych obiektach. Czy obowiązują jeszcze terminy gwarancyjne? - zapytałem dyrektora R. Stusa.

- Gwarancje były negocjowane i przedłużane. Opóźnienia spowodowały bowiem, że niektóre elementy wyposażenia stały przez pewien czas nieużywane. Firmy odniosły się życzliwie do naszych problemów - odpowiada dyrektor. - Dziś nasza największa radość jest oczywista: mamy wreszcie nowy, upragniony, nowoczesny szpital. Niestety, niepokojące jest niepełne wykorzystanie jego zasobów - zarówno ludzkich, jak i sprzętowych. Koszmarem polskiej ochrony zdrowia są bowiem limity wydatków i kolejki. Dziś stoimy przed koniecznością przeniesienia zespołu usteckiego do Słupska, a także administracji do nowych obiektów, która zajmuje stary obiekt oddalony od nowego szpitala i utrudnia zarządzanie nim. Konieczne jest też skoncentrowanie ambulatoryjnej opieki całodobowej w obiekcie przy ulicy Hubalczyków, aby odciążyć SOR, traktowany często przez pacjentów jak całodobowa przychodnia. Przypomnę, że Szpitalny Oddział Ratunkowy w pierwszym, 2012 roku przyjął ponad 30 tysięcy pacjentów(!), a w 2013 - prawie 35 tysięcy. Tylko 30 procent tych zgłoszeń było uzasadnionych, pozostałe powinny być załatwione przez pomoc całodobową znajdującą się w mieście i osobno opłacaną przez Narodowy Fundusz Zdrowia. To ilość przekraczająca możliwości SOR-u, przeznaczonego tylko dla nagłych zagrożeń życia. Dla porównania: we wszystkich oddziałach szpitalnych leczymy rocznie około 40 tysięcy chorych, a w przychodniach - 60 tysięcy.

Odrębną działalnością dyrektora R. Stusa jest praca w samorządzie powiatowym. Drugą już kadencję pełni funkcję przewodniczącego Rady Powiatu Słupskiego. Umówiliśmy się, że przy następnych spotkaniach porozmawiamy o założeniach długofalowej polityki senioralnej na lata 2014 - 2020 - w świetle dyrektyw rządu z 25 grudnia 2013 roku i o tym, czy region słupski jest przygotowany do rozwiązania problemów ludzi w podeszłym wieku, a także jak zmniejszyć kolejki i zwiększyć dostępność do lekarzy, jakie są problemy opieki geriatrycznej w regionie słupskim i jak im zaradzić. To będą zapewne ciekawe rozmowy.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



Jolanta Zawadzka-Anuszevska - kierownik Sekcji Oświaty Zdrowotnej i Promocji Zdrowia Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Słupsku: - Wirusowe zapalenie wątroby typu C jest pierwszą w Europie, w tym także w Polsce, a drugą na świecie przyczyną jednego z najbardziej złośliwych nowotworów - raka wątrobowokomórkowego.

Każdego dnia, aż cztery osoby dowiadują się, że chorują na ten nowotwór w następstwie wirusowego zapalenia wątroby typu C. Tych rozpoznać można by uniknąć poprzez wczesną diagnostykę i rozpoczęcie leczenia, które mogłoby zapobiec rozwojowi choroby.

Ponieważ nie istnieje szczepionka przeciwko HCV, jedynym skutecznym sposobem walki z wirusem jest wczesna diagnostyka zakażonych. Wykonując badanie krwi w kierunku oznaczenia przeciwciał wirusa tzw. testem anti-HCV dajemy szansę nie tylko sobie na skuteczne leczenie i możliwość uniknięcia pierwotnego raka wątroby, ale również chronimy swoich bliskich przed zakażeniem. Niestety, w Polsce ogromna większość zakażonych pozostaje nieświadoma swojej choroby. Osoby te powinny mieć szansę wykrycia zakażenia przy pomocy testów przesiewowych, gdyż znaczna część zakażonych

ma cechy aktywnej, choć bezobjawowej replikacji wirusa, wymagającej jak najszybszego leczenia.

Według szacunków Polskiej Grupy Ekspertów HCV, w Polsce zakażonych wirusowym zapaleniem wątroby typu C może być około 730 tysięcy osób, z czego jedynie ok. 2 procent tej populacji zdiagnozowano i jest to jeden z najniższych wskaźników w Europie. Uwzględniając te szacunki należy się spodziewać, że przeciwciała anti-HCV mogą występować na przykład u około 1820 mieszkańców Słupska.

Jedynym skutecznym sposobem walki jest wczesne wykrycie choroby poprzez wykonanie testu i rozpoczęcie leczenia w jak najwcześniejszym stadium. Obecne metody terapeutyczne umożliwiają trwałe wyleczenie zakażenia HCV. Takie zakażenie to nie wyrok i można je pokonać, jeśli odpowiednio wcześniej się je wykryje.

Szacuje się, że jeśli nie zostaną podjęte szybkie i zdecydowane działania w kierunku zdiagnozowania jak największej liczby zakażonych, w ciągu najbliższych dwudziestu lat dojdzie do licznej manifestacji późnych następstw zakażenia, takich jak marskość czy rak wątrobowokomórkowy. Mogą one wystąpić u około 150 tysięcy przewlekle zakażonych HCV, co w Polsce może przybrać dramatyczny wymiar społeczny i finansowy. Leczenie skutków HCV obejmuje kosztowną terapię przeciwwirusową, leczenie raka oraz transplantację wątroby, a to jest ogromnym obciążeniem finansowym i wymaga specjalnych systemów opieki zdrowotnej.

Obserwacje kliniczne wskazują, że liczba przewlekle chorych oraz umierających z powodu powikłań wirusowego zapalenia wątroby typu C stale wzrasta. Przeprowadzanie bezpłatnych badań dla mieszkańców na obecność przeciwciał anti-HCV we krwi to podstawa wczesnego rozpoznania choroby. Koszt takiego badania wynosi za ledwie 20-30 złotych.

Każda ilość bezpłatnych badań dla mieszkańców będzie miała ogromne znaczenie.

Zanotował:
Stefan Staszczuk, Słupsk



Zapisałi w kadrze

Konkurs zorganizowano w trzech kategoriach: flora i fauna, krajobraz oraz przyroda oczami dziecka. Wpłynęło blisko czterdzieści prac. W kategorii flora i fauna zwycięzcami zostali: Katarzyna Babińska - za zdjęcie pt. „Siedmiokropka”, Monika Lesner-Mączyńska - za pracę „Odpoczynek nad morzem” i Krzysztof Sokal - za zdjęcie pt. „Cielak”. Wyróżnienia przyznano Witoldowi Leśniewskiemu - za zdjęcie pt. „Dzięcioł kłuje na kolację” i Dominice Windorpskiej - za zestaw zdjęć: „Rosa o poranku”, „Liść” i „Pająk”.

W kategorii krajobraz nagrodzono: Monikę Lesner-Mączyńską - za zdjęcie pt. „Nocą pośród pól”, Leszka Roskowińskiego - za zdjęcie pt. „W porannej mgle zagubieni” i Marka Laska - za zdjęcia pt. „Las w Orzechowie”. Wyróżnienia przyznano Witoldowi Leśniewskiemu za zdjęcie „Jezioro skute lodem” i Katarzynie

Fot. K. Babińska



„Przyroda powiatu w obiektywie” - to tytuł kolejnej edycji konkursu fotograficznego

Myślistwo to nie tylko po



Opinia o myśliwych nie jest zbyt przychylna, a często bywa krzywdząca

Skąd bierze się nie najlepsza opinia o myśliwych? Głównie z braku pełnej wiedzy o tym, czym się zajmują. Myśliwi, aby to zmienić, starają się podczas różnych spotkań, zwłaszcza z młodzieżą szkolną informować, jakie prace składają się na prowadzenie gospodarki łowieckiej.

Od jakiegoś czasu także w TVP pojawia się więcej audycji o tematyce łowieckiej. Oglądając je nie trudno zauważyć, że pozyskiwanie zwierzyny to tylko niewielki fragment działalności myśliwych. Praca kół łowieckich, to realizacja zadań wyznaczonych przez państwo, w tym hodowla

i wypłacanie odszkodowań ze środków wypracowanych przez myśliwych. Koła łowieckie działają bez dotacji, a ich praca bierze się z umiłowania przyrody. Praktyka wskazuje, że najlepsze efekty w kształtowaniu opinii daje edukacja i to już na poziomie szkół podstawowych.

Babińskiej za zdjęcie pt. „Poranny mroźny pejzaż”.

W kategorii przyroda oczami młodzieży pierwszego miejsca nie przyznano, drugie przypadło Karolinie Rokowińskiej - za zdjęcie pt. „Takie jest prawo dżungli” i Szymonowi Warakom za zdjęcie pt. „Okiem owada”, a trzecie Nikoli Januszyk - za zdjęcia pt. „Podzielność stron” i „Wierne odbicie”. Wyróżnienie otrzymała Patrycja Juzba za zdjęcie pt. „Kałuża”.

Dyplomy i nagrody laureatom wręczył starosta słupski Sławomir Ziemanowicz.

Rozstrzygnięto też III Powiatowy Konkurs Fotograficzny pod hasłem „Dbam o zdrowie - nie palę papierosów”. Zorganizowało Starostwo Powiatowe wspólnie z Powiatową Stacją Sanitarno-



Fot. J. Maziejuk

Epidemiologiczną w Słupsku. Wpłynęło 76 prac nadesłanych przez uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych ze Słupska i powiatu słupskiego. Łącznie z 9 placówek oświatowych.

W kategorii młodzieży szkół gimnazjalnych komisja przyznała I nagrodę Gabrieli Zdebel z kl. III Gimnazjum w Objeździe za pracę pt. „Wypaleni”, w kategorii

młodzieży szkół ponadgimnazjalnych I nagroda przypadła Emilii Treszczyńskiej z kl. II, II Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku za pracę pt. „Życie bez nałogu”. Praca ta umieszczona została na kalendarzu ściennym na 2014 rok, wydanym przez słupskie Starostwo.

Wszyscy laureaci otrzymali dyplomy i nagrody rzeczowe. **(MS,DR)**

łowowania

Jak dowiedziałem się od Mariana Wilczewskiego - łowczego Okręgu Słupskiego Polskiego Związku Łowieckiego, w powiecie słupskim działa trzynastcie kół łowieckich. Współpracują one w różnym zakresie ze szkołami. Jednym z kół jest „Hubertus” w Główczych. Działalność łowiecką prowadzi ono w gminach Główczyce i

Damnica. W rozmowie z łowczym Jerzym Kaisem dowiedziałem się, że od lat koło to współpracuje ze szkołami w Główczych, Pobłociu, Stowięcinie, Szczypkowicach i Damnicy. W przeszłości współpraca ograniczała się do sporadycznych spotkań myśliwych z uczniami i przekazywaniem na nagrody dla uczniów niewielkich kwot. Za sprawą łowczego, od niedawna uczniowie sami

zarabiają pieniądze, zbierając karmę dla dzikiej zwierzyny, bardzo potrzebną do dokarmiania w okresie zimowym. W ubiegłym roku zebrali trzy tony żołądki, kasztanów i buczyny oraz 28 ton poźniowych resztek kolb kukurydzy. Zarobili w ten sposób ponad cztery tysiące złotych.

Do celów edukacyjnych Koło Łowieckie „Hubertus” udostępnia uczniom swoją stację w Podolu Wielkim. Ale działania myśliwych dotyczą również problemów ochrony środowiska, głównie lasów, ich stanu i znaczenia dla gospodarki. Dzięki dobrej współpracy z Nadleśnictwem Damnica uczniowie dwa razy w roku spotykają się z myśliwymi na tzw. ścieżkach edukacyjnych. Poznają na nich przyrodę lasu. Wiele czasu myśliwi poświęcają



Fot. Archiwum Autora

też tematyce dzikiej zwierzyny. Uczniowie dowiadują się, co to jest pojemność łowiska, jakie są zasady hodowli i pozyskiwania zwierzyny łownej. Omawiane są również gatunki chronione.

Dobra współpraca i zaangażowanie szkół w edukację łowiecką za skutkowały przyznaniem szkołom w Główczych i Stowięcinie „Odznaki za Zasługi dla Łowiectwa”, a Szkole Podstawowej w Pobłociu z inicjatywy myśliwych ufundowano sztandar.

Na uwagę w powiecie słupskim zasługuje również praca myśliwych na rzecz prawdy o myślistwie w takich kołach, jak „Bałtyk”, „Wilk” czy „Cietrzew”. W szkołach organizowane są przez myśliwych tych kół spotkania i konkursy z nagrodami o tematyce łowieckiej.

Adam Jabłoński, Przewłoka



Fot. Archiwum Autora

Fot. Archiwum Autora

Rynki wymuszają aktyw



Fot. Archiwum Autora

Przedsiębiorstwem, które może śmiało konkurować z norweskim King Oscar jest Przetwórstwo Rybne ŁOSOŚ Sp. z o.o.

Wnie tak odległych latach, kiedy w Polsce następowała zmiana systemu politycznego, wielu mieszkańców naszego kraju wyzwoliło w sobie instynkt inicjatywy gospodarczej. Jak grzyby po deszczu powstawały małe przenośne kramy z różnymi artykułami. Otwarcie granic spowodowało ogromny ruch przygraniczny kształtowany przez okoliczny handel. Powstawały pierwsze fortuny, pierwsze podwaliny rodzinnego biznesu. W głównej mierze był to upadek „wielkiego planisty” z czasów socjalizmu, czyli decyzji urzędniczych: co i ile mamy produkować, co i po jakiej cenie mamy kupować, jak mieszkać, czym jeździć itd. Czasy te są już dziś lekcją historii. Zmiana spowodowała w naszym życiu gospodarczym pomysłowość i aktywność wielu ludzi, którzy tworząc nowe miejsca pracy dla siebie i innych, sami określają „co zrobić żeby zarobić”.

W tych okolicznościach wielu ekonomistów przypominało nam słowa Adama Smitha o tzw. „niewidzialnej ręce”, która reguluje w sposób niewidoczny współdziałanie różnych gospodarstw domowych i przedsiębiorstw. Czy rzeczywiście to działa i czy jest skuteczne na naszym rynku, i czy my, zwykli „zjadacze chleba” też to zauważamy? Postaram się przedstawić różne spostrzeżenia na podstawie jednej z moich

wypraw. Będąc w Norwegii w pięknym mieście Bergen miałem okazję zwiedzić nowoczesną firmę przetwórstwa owoców morza King Oscar. To ponadstuletnie przedsiębiorstwo zajmujące się połowem, przetwarzaniem, puszgowaniem oraz wysyłką gotowego wyrobu do takich krajów, jak: Stany Zjednoczone, Polska, Republika Czeska, Słowacja, Węgry, Rumunia, Rosja, Belgia, Niemcy, Japonia, Australia i Nowa Zelandia. Wysoka jakość, na jaką stawia zarząd tego przedsiębiorstwa, jest widoczna na każdym kroku. Automatyzacja całego procesu technologicznego i dbałość o zachowanie wszystkich procedur przejawia się w całym cyklu produkcyjnym. I jak to zwykle bywa: „cudze chwalicie...”.

Zastanawiałem się, czy w pobliżu, bądź co bądź w morskiej okolicy, istnieje podobne przedsiębiorstwo, którym też możemy pochwalić się w świecie. Poszukiwania nie trwały długo. Przedsiębiorstwem, które może śmiało konkurować z norweskim King Oscar jest Przetwórstwo Rybne „Łosoś” Sp. z o.o. Poprosiłem prezesa Andrzeja Piątaka o rozmowę, która przybliży działalność spółki.

Przetwórstwo to powstało w 1954 roku i w tym roku obchodzi 60-lecie działalności. W latach 1954 - 1999 funkcjonowało pod nazwą Spółdzielnia Pracy

Fot. Archiwum Autora



ność gospodarcza

Rybołówstwa Morskiego „Łosoś”. Zlokalizowane było w usteckim porcie, zajmowało się połowami, obróbką ryb do dalszego przetwórstwa i ich sprzedażą. W 1991 roku zaczęło specjalizować się w produkcji konserw rybnych. Był to czas wielkich zmian. Sprzedano kutry prywatnym rybakom, a uzyskane środki zainwestowano w modernizację konserwiarni i zakup nowych urządzeń. W ciągu trzech lat uzyskano przyrost produkcji konserw z 1200 do 7000 ton rocznie. Od 1 stycznia 2000 roku działalność kontynuowała już spółka prawa handlowe-

gospodarce wolnorynkowej i globalnej konkurencji.

Będąc w siedzibie firmy miałem okazję zauważyć, że o historii przedsiębiorstwa się pamięta, lecz zarząd cały czas myśli o przyszłości. Nowoczesna firma jest przyjazna dla otoczenia i osób w niej pracujących. Pytając o obecną działalność, usłyszałem odpowiedź: - Obecnie Przetwórstwo Rybne „Łosoś” jest jednym z czołowych producentów konserw rybnych w Polsce. Dzienna nasza produkcja wynosi ponad 250 tysięcy konserw. „Łosoś” to innowacyjny za-

ład, ile chce kupić. Staramy się być tam gdzie konsument bez żadnych problemów będzie miał dostęp do naszych produktów. Około 70 procent produkcji dostarczamy na rynek krajowy. Odbiorcami są lokalne hurtownie oraz sieci handlowe: Makro, Eurocash, Auchan, Leclerc, Savia, Polomarket, EKO, E. Leclerc, Intermarche, Real, Lidl, Tradis. Sprzedaż na eksport stanowi około 30 procent produkcji. Eksportujemy na prawie cały obszar Europy Środkowo-Wschodniej. Nasze produkty z powodzeniem sprzedawane są w Czechach, Słowacji, Słowenii, Rumunii, na Węgrzech, w Izraelu, a także w Kanadzie i w Australii.

Prezes Piątek, na pytanie dotyczące sukcesu swojej pracy, odpowiada: - Do wielkiego sukcesu i zaszczytu mogę zaliczyć stworzenie takiego zespołu osób, którym zależy na tym, aby nasz zakład rozwijał się, i które są gotowe poświęcić wiele, aby móc w tym rozwoju uczestniczyć.

Na przykładzie „Łososa” widać, że w Polsce nie mamy się czego wstydzić i śmiało możemy konkurować z zagranicznymi przedsiębiorstwami. Swoją działalność rozpoczął on w latach gospodarki nakazowo - rozdzielczej. Był to okres, w którym „centralny planista” określał na wszystko normy: ilość zużytego przez kutry paliwa, ilość połowu ryb, wielkość produkcji, ilość dostarczonego wyrobu do sklepów itd. W tych latach wszelkie formy konkurencji oraz inicjatyw zarządzania przedsiębiorstwami, były źle widziane. Dzisiaj każde przedsiębiorstwo musi wykazywać się inicjatywą. Centralnego planistę zastąpił klient, który decyduje, o tym czy przedsiębiorstw sprzeda swoją produkcję, oraz czy pozostaną mu fundusze na rozwój. Żaden „dobry wujek” nie przyniesie już teczki z pieniędzmi.

Dawnego „dobrego wujka” zastąpiła „niewidzialna ręka”, czyli prawa rządzące rynkiem.

dr Mirosław Betkowski, Słupsk

W następnym artykule przedstawię siódmą zasadę ekonomii mówiącą o tym, że niekiedy państwo może poprawić działania rynku. (MB)



go pn. Przetwórstwo Rybne „Łosoś” Sp. z o.o. Członkowie spółdzielni objęli 100 proc. udziałów w spółce. Zostali zatrudnieni w niej wszyscy pracownicy - 280 osób.

W listopadzie 2000 roku spółka „Łosoś” uzyskała pozwolenie na budowę nowego zakładu w Słupskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej - we Włynkówku. W ciągu dwóch lat powstała duża, nowoczesna fabryka. - Tak w ostatnich latach kształtowała się historia rodzimego przedsiębiorstwa. Miałem możliwość uczestniczyć w tych przemianach - mówi A. Piątek. - Były to czasy intensywnych zmian w spółce i w całym kraju.

Na pytanie, jak ocenia tamte lata, usłyszałem odpowiedź: - Tamtych czasów nie da się porównać z obecnymi, były zupełnie inne. Inaczej wyglądała działalność przedsiębiorstwa, spółki, spółdzielni w gospodarce nakazowej, a inaczej wyglądała w

zakład posiadający zaawansowane technologicznie linie produkcyjne, chłodnię, duży magazyn oraz oczyszczalnię ścieków. Spełnia najwyższe wymogi. Posiada certyfikaty IFS i BRC”.

I rzeczywiście - przyglądając się całemu procesowi przetwórstwa ryb widać dbałość i przestrzeganie wysokich norm higieny produkcji. Jak się dowiedziałem, przedsiębiorstwo posiada także własną stację kontroli jakości, w której badane są wszystkie produkty. Dbałość o jakość i odpowiedni smak, preferowany przez konsumentów, to jeden z priorytetów przedsiębiorstwa.

- To klient dzisiaj decyduje o tym, co



Fot. Archiwum Autora

Pierwsze biblioteki gminne w powiecie słupeckim powstały 16 stycznia 1949 roku. Założono wówczas trzynaście bibliotek. Powstała również Gminna Biblioteka Publiczna w Kobylnicy. Mieściła się w budynku Urzędu Gminy przy ulicy Głównej 22, zajmując dwa pokoiki o łącznej powierzchni trzydziestu czterech metrów kwadratowych. W jednym urządzono wypożyczalnię książek, w drugim - czytelnię czasopism. W 1953 roku przeprowadzono kapitalny remont budynku i biblioteka otrzymała dodatkowe pomieszczenie - świetlicę dla młodzieży. Pod koniec 1954 roku wprowadzono reformę administracyjną kraju. Zlikwidowano gminy, a w ich miejsce powstały gromadzkie rady. Biblioteka zmieniła nazwę na Gromadzką Biblioteką Publiczną w Kobylnicy.

Pierwszą bibliotekarką była Amelia Ciechowska. Pracowała od 1 grudnia 1948 roku i to ona przygotowała pierwszy księgozbiór. Przez dziesięć lat swojej pracy rozbudziła zamiłowanie mieszkańców Kobylnicy do czytania książek. Zyskała do pomocy dodatkowego pracownika - Adolfa Orzecha. Nawiązała kontakt z młodzieżą, która zaczęła się spotykać w czytelnicy czasopism. Z czasem powołano do życia Koło Przyjaciół Biblioteki. Spotkania z „żywym słowem” były początkowo jednym kontaktem mieszkańców wsi z literaturą. Przewodniczącym koła przez wiele lat był Krzysztof Adamowicz. Warto przypomnieć, że w 1957 roku z księgozbioru biblioteki korzystało czterystu czytelników gromady. Wypożyczyli oni 8581 książek. Najaktywniejszymi czytelnikami wówczas byli: Tadeusz Białecki, Felicja Cudecka, Janina Koperek i Zofia Mazur.

Następną bibliotekarką była Czesława Żarka. W pracy pomagał jej Waldemar Wiktorowicz. W 1963 roku zlikwidowano jednak ryczałt dla pana Waldemara i jednocześnie zwolniła się z pracy pani Czesława. Biblioteka została zamknięta z powodu braku pracownika. Pani Czesława wspominała, że w początkowym okresie działalności trudno było pracować, ponieważ mieszkańcy wsi nie mieli nawyku czytania książek. Współpracę utrudniała także niewielka liczba książek. Było jednak kilkuset czytelników, którzy często przychodzili do wypożyczalni. Nieraz trudno było doczekać się książki, bo cały księgozbiór był wypożyczony.

Od 1 sierpnia 1963 roku w bibliotece zaczęła pracować Czesława Abrycka (później Bubnowska). Prowadziła bibliotekę do końca 1991 roku. Pracę swą rozpoczęła w trudnych warunkach lokalowych, zbiory biblioteczne, wypożyczalnia i czytelnia mieściły się w jednym pomieszczeniu. Mimo trudnych warunków do biblioteki znowu chętnie zaczęła przychodzić młodzież, skupiona w Kole Przyjaciół Biblioteki. Przewodniczył mu w tym czasie Bronisław Kulczycki. Założył on przy kole m.in. aktywnie działającą

31 stycznia br. Gminna Biblioteka Publiczna w Kobylnicy obchodziła 65-lecie istnienia. Zdarzało się, że czytelnicy czekali na książki, bo wszystkie były wypożyczone

Bibliotece stuknęło 65 lat



sekcję szaradzystów. Jej członkowie zbierali się w bibliotece dwa razy w tygodniu, czasami częściej i wspólnie. Do najaktywniejszych należeli: Bronisław Kulczycki, Danuta Binkowska, Stanisław Bubnowski, Julia Kozaczuk i Irena Bubnowska. Hobby to z czasem przekształciło się w szperacką namiętność.

Członkowie Koła Przyjaciół Biblioteki pomagali też przy odbudowie Domu Kultury przy ulicy Głównej 1, do którego 15 października 1964 roku przeniesiono bibliotekę. Wywozili taczkami gruz, podawali cegły, sami urządzili boisko do gry w piłkę siatkową. Pomagali także bibliotekarce przewozić księgozbiór z pomieszczenia przy ulicy Głównej 22 do lokalu przy ulicy Głównej 1. Biblioteka otrzymała wówczas sto dwadzieścia metrów kwadratowych powierzchni. Takiego dużego pomieszczenia nie miała wówczas żadna biblioteka, ta w Kobylnicy była najładniej wyposażoną biblioteką w całym powiecie! Członkowie z Koła Przyjaciół Biblioteki ułożyli książki na regały. W nowym gmachu brali udział w

dyskusjach o książkach, filmach. Uczestniczyli w spotkaniach z aktorami i pisarzami. Bibliotekarka ukończyła szkołę średnią, a następnie kurs bibliotekarski. W roku 1965 powstał przy bibliotece zespół muzyczny „Baldowie”, którego kierownikiem był Janusz Wiktorowicz.

W 1963 roku, kiedy odeszła z pracy pierwsza bibliotekarka, Amelia Ciechowska księgozbiór biblioteki liczył 4132 woluminów. W ciągu pięciu lat pracy następnego bibliotekarki - Czesławy Żarki zwiększył się o 1348 woluminów. W 1979 roku księgozbiór Biblioteki Gminnej składał się już z 8166 woluminów. W ciągu trzydziestu lat istnienia biblioteki przybyło 12877 woluminów. Natomiast ze zbiorów wycofano 4711 książek jako nieaktualne i zniszczone przez czytelników. W historii biblioteki zdarzało się, że czytelnicy czekali na książki, bo wszystkie były wypożyczone. Gdy w Słupsku przybyło instytucji kulturalnych młodzież przestała przychodzić do biblioteki. Bibliotekarka rozpoczęła wtedy pracę z dziećmi.

Organizowała wieczory baśni. Przeciętnie na spotkanie z bajkami przychodziło w każdy wtorek piętnaścioro dzieci. Oprócz wieczorów baśni korzystały one z wycińnek, grały w warcaby. Młodsze dzieci bardzo chętnie brały udział w zgaduj zgadulach. By podtrzymać tradycję ludową, każdego roku organizowano pisanie jajek woskiem. Organizowano też spotkania z pisarzami. Z czytelnikami spotkali się m.in.: Antoniusz Jureń, Zbigniew Kiwka, Marta Aluchna-Emelianow, Gracjan Fijałkowski, Maria Kriiger, Stanisława Fleszarowa, Zbigniew Zielonka, Leszek Bakuła, Władysław Machejek i Zygmunt Flis. Bibliotekarka przygotowywała okolicznościowe gazetki i urządziła wystawki książek. W tym czasie do biblioteki gminnej często przychodzili m.in. Tadeusz Białecki i Zofia Mazur. Byli to najstarsi czytelnicy. Tadeusz Białecki w roku 1977 przeczytał 148 książek, a Zofia Mazur - 135. Bibliotekarka darzyła ich szczególnym zaufaniem, ponieważ przez trzydzieści lat korzystania z bibliotecznego księgozbioru nie zgubili ani jednej książki. Biblioteka Gminna brała udział w konkursach czytelniczych. Najwięcej czytelników zgłaszało się do konkursu „Złoty Kłos”. Za udział w nim otrzymała nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Było nią radio, które czytelnikom służyło przez wiele lat. Biblioteka brała też udział w konkursie czytelniczym organizowanym dla dzieci przez Bibliotekę Wojewódzką. W 1979 roku Lilianna Nowakowska - uczennica Szkoły Podstawowej z Kobylnicy zajęła w nim konkursie II miejsce. Co roku przygotowywano młodzież do Olimpiady Wiedzy Rolniczej.

Do 1974 roku Biblioteka Gromadzka sprawowała nadzór nad pięcioma punktami bibliotecznymi: w Łosinie, Widzinie, Bolesławicach, Kończewie i Sierakowie. Kierownikiem punktu w Łosinie był Władysław Strumecki. W Kończewie - Maria Piwowar. W Sierakowie - Alicja Konieczna. W Bolesławicach - Grażyna Zaręba. W Widzinie - Weronika Kopczyńska. Po nowym administracyjnym podziale kraju w 1975 roku do gminy Kobylnica wcielono trzy gromady: Sycewice, Kruszynę i Wrzającą. Powiększył się też obszar pracy biblioteki, która wróciła do dawnej nazwy. Odpowiadała dalej za pracę trzech podległych filii i... dziewiętnastu punktów bibliotecznych. W 1978 roku filię w Sycewicach przeniesiono do nowo wybudowanego Domu Kultury. Biblioteki w tym okresie posiadały 25971 woluminów, udostępniały osiem

czasopism, zatrudniały cztery bibliotekarki na czterech całych etatach. Jedną miała wykształcenie średnie bibliotekarskie, a trzy podstawowe. Czytelnictwo kształtowało się następująco: w Bibliotece Gminnej w Kobylnicy w roku 1978 wypożyczono 7478 książek, w Kruszynie - 7338, w Sycewicach - 7072, a we Wrzającą - 6072. Łącznie bez punktów bibliotecznych wypożyczono 28268 książek. W punktach bibliotecznych wypożyczono ich 18709. W 1978 roku w Bibliotece Gminnej zanotowano 46977 wypożyczeń i pod tym względem zajmowała ona drugie miejsce w rejonie.

Warto nadmienić, że już w 1963 roku zmodernizowano system wypożyczeń. Wprowadzono wolny dostęp do półek. Z tego udogodnienia zadowoleni byli czytelnicy. Księgozbiór biblioteki podzielony był i rozmieszczony w dwóch pomieszczeniach. W jednym znajdowały się książki z zakresu beletrystyki dla dorosłych, w drugim - książki dla dzieci oraz książki popularno-naukowe i księgozbiór podręczny. Ten ostatni zawierał sporo wartościowych pozycji, m.in. Wielką Encyklopedię Powszechną, słowniki, encyklopedie specjalistyczne,

atlas. W 1977 roku młodzież z Koła Przyjaciół Biblioteki obłożyła w szary papier i opisała grzbiety wszystkich książek. W 1978 roku Wojewódzka Biblioteka w Słupsku



Fot. J. Maziejuk

wydała zarządzenie, aby zdjąć szary papier i książki obłożyć folią. Zarządzenie to miało być wykonywane od 1979 roku.

W latach 1980 - 1982 z powodu wprowadzenia w kraju stanu wojennego biblioteki były otwarte tylko do godziny 15-ej. W 1982 roku położono nacisk na upowszechnianie książki rolniczej. Do każdej z bibliotek zakupiono wiele takich książek. W 1986 w każdej z bibliotek powstał kącik książek regionalnych. 31 marca 1992 roku Bibliotekę Gminną połączono z Gminnym Ośrodkiem Kultury. Zgodnie ze statutem tego ostatniego biblioteki i świetlice wiejskie podlegały bezpośrednio dyrektorowi GOK i działały na zasadach z nim uzgodnionych. Przez dziewiętnaście lat funkcję dyrektora biblioteki pełnił dyrektor GOK Zbigniew Podolak. W 1992 roku na emeryturę odeszła pani Czesława Bubnowska. Na cały etat została zatrudniona Lucyna Klatka. Większość działań prowadzono wspólnie z Gminnym Ośrodkiem Kultury. Organizowano m.in. spotkania autorskie z Ryszardem Ulickim, Wandą Chotomską, Martą Fox, wystawy, konkursy literackie, zajęcia literackie z dziećmi. W kwietniu 2010 roku na emeryturę przeszła Lucyna Klatka, a na jej miejsce przyjęto Barbarę Jęchorek, która od czternastu lat prowadziła filię we Wrzającą. W lutym 2011 roku bibliotekę wyłączono ze struktur Gminnego Ośrodka Kultury i stała się ponownie odrębną jednostką organizacyjną. Dyrektorem została Magdalena Różycka, a od 1 lipca - Barbara Jęchorek. Warunki lokalowe znacznie się poprawiły. Siedziba biblioteki mieści się w nowym Centrum Kultury i Promocji oddanym do użytku w 2011 roku. Przygotowano w nim miejsce dla dzieci cztery stanowiska komputerowe i czytelnię. Była to już jedenasta przeprowadzka w historii Biblioteki Publicznej. Dziś sieć biblioteczną w gminie tworzą: Gminna Biblioteka Publiczna w Kobylnicy oraz filie w Kwakowie, Sycewicach i we Wrzającą. Gminna Biblioteka Publiczna wypełnia cztery swoje podstawowe funkcje - gromadzi i udostępnia księgozbiór oraz prowadzi działania kulturalne i edukacyjne.

Barbara Jęchorek, Kobylnica

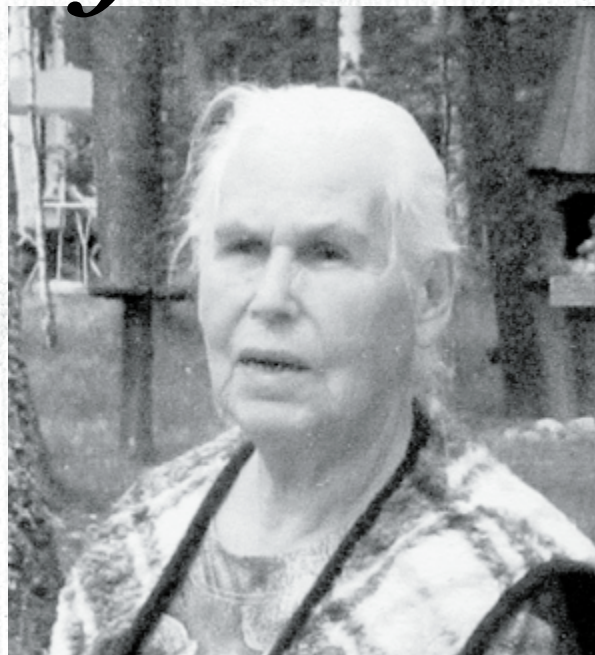


Fot. J. Maziejuk

Fot. J. Maziejuk

Malarki - jubilatki

Godziwe życie malarek - amateerek rozpoczęło się dawno i było naznaczone nie tylko pracą zawodową, ale również zamiłowaniem do uprawiania malarstwa i poszerzania artystycznych umiejętności oraz talentu



Fot. Archiwum Autora



Fot. W. Lipczyński



Fot. W. Lipczyński

Artykuł ten piszę w hołdzie dla pokolenia, które swoim przykładnym, pracowitym i spełnionym życiem zaskarbiło sobie szacunek i wdzięczność swoich następców. Doświadczenia i pasje życiowe seniorów są dla nas skarbnicą i źródłem inspiracji, przemyśleń i wyciągania wniosków na przyszłość. Przybliżam twórcze życie dwóch malarek - senierek, które w tym roku obchodzą 90. urodziny. Są to panie Sabina Banach i Aniela Janiszewska. Artystki te od trzydziestu lat aktywnie uczestniczą w działalności Słupeckiego Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego. Biorą udział w pracach klubu, w plenerach malarskich, organizowanych wystawach oraz wernisażach. Mnie jednak szczególnie interesuje pracowite życie jubilatek, szczególnie emocjonalna strona ich osobowości, która motywuje do uprawianej twórczości i jednocześnie stanowi lustrzane

odbicie ich życia. Znamienna jest data urodzenia obu pań - rok 1924. Przeżyły ostatni okres 20-lecia Polski niepodległej, ciężkie czasy okupacji hitlerowskiej i życie w zmiennych czasach powojennej Polski.

Godziwe życie malarek - amateerek rozpoczęło się dawno i było naznaczone nie tylko pracą zawodową, ale również zamiłowaniem do uprawiania malarstwa i poszerzania swoich artystycznych umiejętności oraz talentu. Sabina Banach, urodzona w Woli Żelechowskiej koło Siedlec dzieciństwo i wczesną młodość spędziła w Warszawie, a do Słupeka przyjechała wkrótce po zakończeniu działań wojennych. Tutaj pracowała jako księgowa w kilku instytucjach, m.in. w domu małego dziecka. Jej zainteresowania plastyczne zostały zauważone już przez nauczycieli szkolnych. W 1980 roku pod wpływem przyjaciół należących do Słupeckiego Klubu

Plastyka Amatora i zachęcona przez instruktora Stefana Morawskiego, zaczęła malować obrazy pełne spokoju i zadumy. Przedstawia na nich przyrodę we wszystkich fazach rozwoju, szczególnie pokazuje bogactwo krajobrazu, widoki dziewiczej natury oraz akcentuje jej piękno.

Malarka w plastyczny sposób przedstawia swój kontakt z naturą dzięki stosowaniu indywidualnej kompozycji barw i kształtów. Zadziwiająco jest jej podejście do pejzaży, które pokazuje jako zaczarowaną naturę. Malarstwo to przypomina obrazy rosyjskiego pejzażysty Szyszkina, który w unikalny sposób malował przyrodę tajgi. Dokumentuje też przemijanie martwych przedmiotów, zwłaszcza budowli, tworząc cykl obrazów z zabytkami architektury Słupeka oraz miasteczek i wsi pomorskich - wszystko po to, aby zatrzymać chwilę.

są rówieśniczkami, poznały się czterdzieści lat temu i wspólne zainteresowania artystyczne połączyły ich życie

Aniela Janiszewska, urodzona w Parczewie w województwie lubelskim jest równie wyjątkowa w uprawianej twórczości. Zajmuje się od 60 lat nie tylko malarstwem sztalugowym, ale również rysuje, tka i haftuje. Z wykształcenia jest dyplomowaną pielęgniarką, przez wiele lat pracowała na kierowniczych stanowiskach w placówkach opiekuńczo - wychowawczych w Słupsku, mając bezpośredni kontakt z małymi dziećmi. Jest osobą o szczególnej wrażliwości na los pokrzywdzonych dzieci i daje temu wyraz w swojej twórczości.

Do Słupskiego Klubu Plastyka Amatora należy od 1984 roku. Zainteresowania plastyczne ma wielostronne. Do sztuki powróciła na dobre po przejściu na emeryturę. Maluje obrazy olejne, tworzy gobeliny i hafty krzyżykowe. W tematyce jej prac dominuje konkretny człowiek, utrwala na obrazach swoją rodzinę, dzieci, kolegów na plenerach malarskich i uroczystościach klubowych. Portretowanie jest charakterystyczne dla tej malarzki - tworzy swoisty klimat wyrażony kolorem i formą. Obrazy A. Janiszewskiej są nasycone intensywnymi barwami, nadają kształt postaciom, urzekają widza. W ostatnich latach najchętniej maluje pejzaże, a także pokazuje życie swojej rodziny, spotkania przyjaciół i rozmaite imprezy folklorystyczne.

W 2004 roku zorganizowano wystawę prac Anieli Janiszewskiej z okazji jej osiemdziesiątych urodzin i dwudziestu lat działalności w klubie. Zaskoczyła wszystkich wielkością i różnorodnością ekspozycji. Zaprezentowała czterdzieści pięć obrazów olejnych, dwa obrazy malowane na szkle, trzysta siedem haftów, osiemnaście gobelinów, dziesięć pastelów, tyle samo rysunków ołówkiem i jedenaście rysunków tuszem.

Czytam kronikę spisana przez Anielę Janiszewską dokumentującą jej pracowite i urokliwe życie. Od szkół, do których uczęszczała w Lublinie, Kielcach, Łodzi, aż do podjętej pracy w Słupsku. To dokumentacja naszej odchodzącej rzeczywistości.

Zapisała w niej, że najważniejsze, godne odnotowania wystawy Sabiny Banach i Anieli Janiszewskiej miały miejsce w latach 2000 - 2003. Wystawa „Poszukiwania własnej drogi” z 2000 roku wzbudziła duże zainteresowanie. Świadczą o tym wpisy, cytuję: „Malarki mogą pochwalić się już dużym dorobkiem artystycznym, ich prace odznaczają się wysokimi walorami estetycznymi i wzbogacają kolekcję współczesnej sztuki ludowej i plastyki amatorskiej w zbiorach Muzeum Pomorza Środkowego. Artystki najchętniej malują Słupsk, jego zabytki, panoramę miasta oraz okoliczne miejscowości i pomorski pejzaż. Ich twórczość charakteryzuje talent, pasja i kobieca intuicja.”

W 2002 roku obie malarki miały wystawy (Sabina Banach - malarstwa. Aniela Janiszewska - tkaniny) i obie wzięły udział w VII Ogólnopolskim Biennale Sztuki Nieprofesjonalnej w Skierniewicach. W ub. roku uczestniczyły w wystawie jubileuszowej „Wspomnienie IV - Dzisiaj”.

Z kroniki dowiadujemy się, że prace obu malarzek były wielokrotnie nagradzane w konkursach plastycznych i znajdują się w zbiorach Muzeum Pomorza Środkowego, Słupskiego Ośrodka Kultury, a także w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą. Są

rówieśniczkami, poznały się czterdzieści lat temu i wspólne prace oraz zainteresowania artystyczne połączyły ich życie. Kontynuują długoletnią znajomość, która przerosła się w przyjaźń. Dlatego ich twórczość wykazuje czasem podobieństwo.

Malarstwo, które uprawiają obie artystki można zakwalifikować do tzw. realizmu. Kierunek ten w sztuce przybliżył widzowi codzienne życie widziane oczami artysty. Jakość prac zależy jednak od talentu i wiedzy o kompozycji barw i kształtów. Malarstwo, skrótowo oceniając, polega na zestawieniach kolorystycznych i na zestawieniach proporcji, które tworzą plastyczny wyraz dzieła. Patrząc na obrazy obu słupskich malarzek można podziwiać barwę, harmonię, dramatyczność lub liryczność obrazów. Ostateczna ocena zależy zawsze do oglądającego. W przypadku obu malarzek - amatorów jakość artystyczna pełniła zawsze rolę wtórną w stosunku do podejmowanego tematu.

Szczególną rolę w życiu zasłużonych senierek spełnia Słupski Klub Plastyka im. Stefana Morawskiego, który działa od 1958 roku i zrzesza 60 osób z różnych miejscowości regionu słupskiego, w różnym wieku i o różnym statusie społecznym. Od wielu lat opiekuje się nim Elżbieta Żołątniak, komisarz corocznych plenerów malarskich. Przynależność do Klubu pozwala jego członkom na rozwijanie uzdolnień i zainteresowań plastycznych, udział w wystawach, plenerach i konkursach. Godne jest podkreślenia, że słupscy plastycy - amatorzy w konfrontacjach ogólnopolskich są zawsze wysoko oceniani, otrzymują nagrody i wyróżnienia. Obie jubilatki doceniają rolę klubu, stanowi on dla nich płaszczyznę inspiracji i realizacji artystycznych wizji. Można powiedzieć, że energią życiową zawdzięczającą uprawianej twórczości.

Włodzimierz Lipczyński
w.lipczynski@interia.eu

W dniach od 28 marca do 28 kwietnia br. zostanie zorganizowana wystawa jubileuszowa Anny Janiszewskiej, a w dniach od 26 września do 30 października br. - wystawa Sabiny Banach pt. „Ziemia słupska”.



Fot. W. Lipczyński



Fot. W. Lipczyński



Fot. W. Lipczyński

Przeszło 100 uczestników wzięło udział w XIV Powiatowym Przeglądzie Kolęd i Pastoralek

Zaśpiewali jak

Uczestnicy rywalizowali 19 stycznia br. w kilku kategoriach: szkoły podstawowe - soliści, szkoły podstawowe - zespoły, szkoły ponadpodstawowe i dorośli - soliści,

szkoły ponadpodstawowe i dorośli - zespoły. W składzie jury zasiadli: Andrzej Machutta - wieloletni wykładowca Akademii Pomorskiej, Tadeusz Picz - wirtuoz skrzypiec Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku oraz Zbigniew Babiarczyk - naczelnik Wydziału Polityki Społecznej słupskiego starostwa. Po zakończeniu zmagania konkursowych, ogłoszenie

wyników poprzedził występ Anny Chodiny - uznanej wokalistki z Ustki.

Podsumowując pracę jury Andrzej Machutta stwierdził, że poziom konkursu rośnie z roku na rok, a wielu wykonawców nie powstydziliby się nawet profesjonalni artyści. Bardzo dobrze zaprezentowali się zwłaszcza reprezentanci gminy Słupsk: Roksana Kulpa, Ringo Todorović, zespoły „Świerszcze” i „Świtezianki” oraz chór „Pasjonata” z Siemianic - w swoich kategoriach zajęli najwyższe miejsca.

Odkryciem przeglądu okazał się Ringo Todorović z Jezierzyc. Wykonanie pastorałki pt. „Uciekali” przyniosło mu Grand Prix. Pozostali laureaci to, wśród najmłodszych solistów: Joanna Płatwa i Roksana Białek z gminy Ustka (instr. Zorza Sędzicka), Roksana Kulpa z gminy Słupsk (instr. Krzysztof Plebanek); wśród zespołów szkół podstawowych: „Pomorskie Słowiki” z gminy Ustka (instr. Małgorzata Karamańska), „Świerszcze” z gminy Słupsk (instr. Beata Frąckowska) i „Mleczaki” z gminy Potęgowo (instr.



Fot. J. Maziejuk

Fot. J. Maziejuk

Kapryśna królowna

Powiat słupski jest inicjatorem wydarzeń kulturalnych. Godnym odnotowania był Powiatowy Przegląd Teatrzyków Wiejskich „WIEJSZTUK” w Warcinie

Jechałem 29 listopada ub. roku na to spotkanie z mieszanymi uczuciami: czy inwencje teatralne mogą wyzwolić pozytywną energię u młodych wykonawców; czy zgłoszone grupy teatralne reprezentują przyzwoity poziom? Organizatorem przeglądu było Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie, odbywał się on w sali gimnastycznej Technikum Leśnego. Atmosfera stworzona przez organizatorów była przyjemna zarówno dla wykonawców, jak i jurorów, którzy mieli za zadanie ocenić teatryki wiejskie. Do przeglądu przystąpiło siedem teatrzyków ze szkół podstawowych i jeden ze świetlicy w Domaradzu.

Na scenę kolejno wchodziły grupy wykonawców i przedstawiały różnicowane tematycznie scenki rodzajowe. Tematyka każdej inscenizacji była ciekawa, łączyła ideę teatru młodego widza z końcowym przesłaniem, czyli konkretnym moralitetem wychowawczym. Tym razem szczególną uwagę jurorów zwróciły trzy teatry, które wybijały się ponad przeciętny poziom i zostały nagrodzone.

Bez dyskusyjnie na pierwszą nagrodę zasłużyła grupa teatralna „Kurtynka” ze Szkoły Podstawowej im. Książąt Pomorskich w Słonowicach za przedstawienie



Fot. J. Maziejuk

„Królowna Gburka”. Miało ono poziom prawie profesjonalnego teatru. Dobra, wyrazista gra aktorów, nienaganna dykcja, dowcipne dialogi, dynamiczne scenki, piękne kostiumy i staranna dekoracja - wszystko to zwracało uwagę i nie mogło się nie

profesjonaliści



Barbara Krasnoborska). Wśród solistów starszych (ze szkół ponadpodstawowych i dorosłych) zwyciężyli: wspomniany Ringo Todorović z gminy Słupsk (instr. Beata Frąckowska), Piotr Fitowski z gminy Potęgowo (instr. Daniel Spoczyński), Natalia Kempa z Ustki (instr. Adam Wroński). Wyróżnienia

otrzymali: Zuzanna Gadomska z gminy Ustka (instr. Zorza Sędzicka) - otrzymała też nagrodę ks. Feliksa Samulaka, i Agnieszka Perkowska z gminy Słupsk (instr. Beata Frąckowska).

Spośród zespołów szkół ponadpodstawowych i dorosłych najwyżej oceniono

„Pasjonatę” z gminy Słupsk (instr. Liliana Zdolińska), a następnie „Bez nazwy” z gminy Potęgowo (instr. Daniel Spoczyński), „Świtezianki” z gminy Słupsk (instr. Jolanta Otwinowska) i „Wista Wio” z gminy Potęgowo (instr. Izabela Zielińska”).

W jezierzyckim kościele - bo tam od trzech lat organizowany jest przegląd - rozbrzmiały kolędy i pastorałki: „Lulej że mi lulej”, „Pastorałka dla mamy”, „Sianko na stół”, „Wysyłam swą prośbę”, „Śniegu cieniutki opłatek”, „Nadmorska kolęda”, „Malańka miłość”, „Piosenki tej słuchajcie”, „Tobie Mały Panie”, „Jak się smuć, jak się cieszyć”, „O gwiazdeczko moja mała”, „Gwiazdki świecą nad stajenką”, „Święta noc”, „Gore Gwiazdy”, „Tryumfy Króla Niebieskiego”, „Biały śnieg i Ty”, „Przybieżeli do Betlejem”, „A wczoraj z wieczora”, „Gdy się Chrystus rodzi”, „Gdzie jest nasze Betlejem”.

W sumie wystąpiło 112 wykonawców, których przygotowało do występów 16 instruktorów.

Przeгляд tradycyjnie zorganizowali - Gminny Ośrodek Kultury Gminy Słupsk w Głobinie i Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie. A gościnności wykonawcom udzielił: Tadeusz Frąckowski - dyrektor Zespołu Szkół w Jezierzycach i ks. Feliks Samulak - proboszcza parafii w Jezierzycach. **(Z)**

Gburka



podobać. A jakie było przesłanie dla widzów? Zachęcali do przestrzegania zasad dobrych zachowań i stosowania zwrotów grzecznościowych na co dzień. Inscenizację zakończył pięknie zatańczony polonez. Tu też wszystko było bez zastrzeżeń, a szczególnie brałymi została nagrodzona

najmłodsza uczestniczka przedstawienia z I klasy, grająca kapryśną królową.

Grupa teatralna z Zespołu Szkół w Łupawie zdobyła drugą nagrodę za inscenizację pt. „Poczekalnia osobowości”. Rzeczą działa się w wiejskiej poczekalni lekarskiej.

Prezentacja współczesnej tematyki zaskoczyła wszystkich widzów. Były to jedyne komediowe scenki rodzajowe na całym przeglądzie. Wybrana konwencja farsy, dokładnie podpatrzone, wzięte z życia scenki z poczekalni przychodni lekarskiej ubawiły oglądających, a gra wykonawców i ich świetna charakteryzacja ujęła tak widzów, jak też zespół oceniający. Jak na poziom szkolny było to dobrze wyreżyserowane i zagrane przedstawienie.

„Koniki Polne” z Zespołu Szkół w Biesowicach przedstawiły „Zagubiony czas” i otrzymały III nagrodę. Temat inscenizacji był jak najbardziej aktualny, związany z problemami współczesnej rodziny, ale o akcencie wyraziście dramatycznym. Młodzi wykonawcy przekonująco zagrali swoje role, wyraziście było też przesłanie przedstawienia: czy w dzisiejszych czasach rodzice mają czas na troskę i miłość dla swoich dzieci?

Wyróżnienie otrzymała grupa teatralna „Bingo” ze Szkoły Podstawowej im. Leśników Polskich w Motarzynie za przedstawienie „Jaś i Małgosia”. Inscenizacja podobała się i wyróżniała grą, a także uzdolnieniami wokalnymi wykonawców, dobrą charakteryzacją oraz wyjątkową grą czarownicy.

„Warcieńskie zajęcia” ze Szkoły Podstawowej przedstawiły inscenizację pt. „Wilk i zając” z pięknym przesłaniem, aby wszelkie konflikty, kłótnie mediować i rozwiązywać. Szczególnie udane były scenki zbiorowe i scenografia.

Szkoła Podstawowa w Głobinie zaprezentowała się w przedstawieniu pt. „Szukam przyjaciela”. Była to inscenizacja współczesna o relacjach człowieka do zwierząt domowych - psa i kota. Piękne przesłanie związane było z wyborem pieska ze schroniska dla zwierząt. W schronisku bowiem nie tylko wybiera się psa, ale również przyszłego przyjaciela, któremu należy okazać miłość.

Grupa „Świetliki” ze świetlicy w Dymaradzu przywiozła do Warcina „Kronikę postaci bajkowych” - bardzo ambitną inscenizację podejmującą problem współczesnych uzależnień przełożonych na symboliczne postaci z trzech bajek. W tym przedstawieniu szczególnie wyraziście była postać młodego narratora prowadzącego poszczególne scenki rodzajowe.

Wszystkim wykonawcom i ich opiekunom należą się podziękowania za ciekawe inscenizacje, na ogół dobrze przygotowane oraz za to, co już wcześniej podkreśliłem i na co jako jeden z jurorów i były nauczyciel zwracałem szczególną uwagę poza grą aktorską - za końcowe przesłania o charakterze wychowawczym, o dużych wartościach moralnych. Przegląd z pewnością dostarczył wielu przeżyć młodym wykonawcom, a ich opiekunom i jego organizatorom tematów do dalszej dyskusji na temat pomocy, jakiej należy udzielić teatrykom wiejskim. Pokazał, że ziemia słupska ma utalentowanych młodych aktorów i ambitnych szkolnych reżyserów sztuki teatralnej.

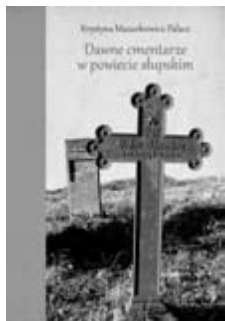
Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. J. Maziejuk

Dawne cmentarze w publikacjach

Krystyna Mazurkiewicz - Palacz, kierująca na co dzień słupecką Delegaturą Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków opowiedziała o zabytkowych cmentarzach powiatu słupeckiego



Prelekcja odbyła się 14 stycznia br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku i połączono ją z prezentacją multimedialną, na podstawie książki autorskiej „Dawne cmentarze w powiecie słupeckim”. Książka ta, jak napisała autorka, „to garść wspomnień o tych szczególnych miejscach powiatu słupeckiego - nierozdzielnych elementach kultury i otoczenia człowieka - cmentarzach powstałych w XIX i na początku XX wieku.”

Publikację wydało Starostwo Powiatowe w Słupsku ze środków Programu opieki nad zabytkami powiatu słupeckiego na lata 2009 - 2012. Z kolei Wacław Machura - nauczyciel historii filozofii i etyki oraz wicedyrektor II Liceum Ogólnokształcącym w Słupsku przedstawił efekt swoich prac inwentaryzacyjnych prowadzonych na terenie słupeckiego cmentarza. Badacz odnalazł i opisał ok. 140 nagrobków z lat 1886 - 1943, w tym wielu obiektów już dzisiaj nie istniejących, zachowanych tylko na zdjęciach i rysunkach.

W czasie prelekcji Wacław Machura omówił historię słupeckich cmentarzy

miejskich, w tym zespołu cmentarzy utworzonych na przełomie XVIII/XIX w. przy ulicy Kaszubskiej, okoliczności i przyczyny śmierci słupeczan, formy ich upamiętnienia. Autor poddaje analizie formy artystyczne pomników, treści umieszczanych tam inskrypcji oraz źródła wiedzy pomocne w ustaleniu informacji o zmarłych słupeczanach. W ten sposób przygotowuje się do wydania opracowania poświęconego cmentarzowi słupeckiemu. Będzie to kolejna publikacja



Fot. J. Maziejuk

Wacława Machury, po książce pt. „Dawne miejsca pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupeckiego”, wydanej też przez słupeckie starostwo. (MBP)

Kiedy stoi na najwyższym podium, słyszy hymn narodowy jak najpiękniejszą muzykę. Widzi jak flaga płynie aż pod niebo. Ścisła wtedy coś w żołądku. Serce podchodzi do gardła i chciałoby wyskoczyć z piersi. Do oczu cisną się łzy wzruszenia. Zapomina się o ciężkich chwilach na treningach, o poświęceniu, nadludzkim wysiłku. Ta chwila rekompensuje wszystko.

Maria Osmańska-Sobiech, paraolimpijka, słupeczanka. Jej historia wydaje się nieprawdopodobna. Drzwi otworzyła mi uśmiechnięta, wysoka, ładna blondynka. Nie wyglądała na osobę pokrzywdzoną przez los. A jednak utraciła wzrok. Teraz trochę widzi, ale tylko przy pomocy lupy, z którą się nie rozstaje.

Do szesnastego roku życia była zdrową, normalną dziewczyną. Uczyła się i uprawiała sport w siemianickiej szkole. Grała w piłkę z chłopakami, skakała wzwyż. Trener Zenon Cieślak zwrócił na nią uwagę i zaproponował jej siatkówkę w klubie „Czarni”. Z wielką radością brała udział w treningach i ćwiczeniach.

Po którymś z treningów poczuła się niedobrze. Bolał ją straszliwie brzuch. Myślała, że przeforsowała. Jednak wylądowała w szpitalu. Stwierdzono zapalenie wyrostka robaczkowego. Na stole operacyjnym okazało się, że jest o krok od tragedii. Zawartość chorego woreczka żółciowego się rozlała. Nastąpiło zapalenie otrzewnej. Przeszła wiele operacji, leczenie trwało ponad dwa lata. Podczas kolejnej „odpłynęła”. Dopadła ją śmierć kliniczna. Po odratowaniu okazało się, że straciła wzrok. Z czarną opaską na oczach przeleżała na szpitalnym łóżku pół roku. Złe myśli nie dawały jej spokoju. Żal do losu. Przerazenie, jak będzie wyglądało dalsze jej życie. Kiedy zdjęto jej czarną opaskę doznała kolejnego wstrząsu. Wszystko białe! Żadnych kolorów. Biel wwiercała się w mózg. Kłula w głowie. Doktor Branicka, specjalista od chorób oczu, pocieszała i obiecywała, że z biegiem czasu powinno się poprawić, w niewielkim stopniu powróci wzrok.

Trzeba tylko czekać. Nie odzyskała jednak wzroku. Śmierć kliniczna skutecznie uszkodziła ten narząd. Trzeba było zacząć uczyć się żyć na nowo, krok po kroku. Na jej drodze pojawił się doktor Sojka. Załatwił pracę w Spółdzielni Niewidomych, tam poznała Krystynę Płończak z Wyższej Szkoły Pedagogicznej, która na co dzień prowadziła ćwiczenia w spółdzielni. Namawiała ją by wróciła do sportu. Opierała się długo.



Nie ma nic bardziej wzruszającego dla sportowca, kiedy dochodzi do jego świadomości, że to on właśnie wygrał

Pokonana samą siebie



Fot. Archiwum Autora

Nie wierzyła, że będzie mogła chodzić na treningi. Pani Krystyna nie odpuszczała. I się odważyła. Poszła spróbować. Tak zaczęło się jej drugie życie.

Wybrała konkurencje siłowe - pchnięcie kulą rzut oszczepem i dyskiem. Zaczęła regularne treningi pod opieką sportowych lekarzy. Dawała z siebie wszystko. Na efekty nie trzeba było długo czekać. W 1975 roku na Igrzyskach Paraolimpijskich w Warszawie zajęła pierwsze miejsce w pchnięciu kulą. Od tej chwili sukcesy potoczyły się tak jak toczyła się jej kula. Nie było igrzysk, zawodów, mityngów, na których nie zajęłaby czołowego miejsca. Ale najważniejszy był Seul, tam na Paraolimpiadzie zdobyła brązowy medal w rzucie oszczepem. W Rzymie w 1985 roku na Mistrzostwach Europy zdobyła dwa złote medale - w pchnięciu kulą i w rzucie oszczepem. Rozstała się z Polską. Wcześniej na zawodach na Węgrzech w 1978 roku zajęła trzy pierwsze miejsca. W 1979 roku w Brukseli - cztery pierwsze miejsca, jedno drugie i trzecie. W 1981 roku na Mistrzostwach Europy w pchnięciu kulą zajęła trzecie miejsce i pierwsze w rzucie oszczepem. W 1983 roku w Warnie - pierwsze miejsce w pchnięciu kulą. W Moskwie

Fot. J. Maziejuk

zdołała złoty medal w rzucie oszczepem. W Paryżu w 1988 roku - trzy pierwsze miejsca. W 1989 roku w Zurychu dwa srebrne medale - w pchnięciu kulą i rzucie oszczepem.

Pani Maria ma oprócz sukcesów sportowych, niesamowite poczucie humoru. Wspomina jak w Sulu chcieli spróbować, jak smakuje psie mięso podane bardzo apetycznie. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Już na drugi dzień wszyscy się porchowali...

Ze sportu już się wycofała, ma poważne kłopoty ze zdrowiem. Kolejny raz na skutek błędu lekarzy omal nie rozstała się z życiem. Ale - jak mówi - widocznie jeszcze nie nadeszła jej pora. Przeszła znów kolejną operację, po której dochodzi ponownie do zdrowia. W swoim miłym mieszkaniu otoczyła się pamiątkami, fotografiami, pucharami, medalami, Ma wielu przyjaciół, nie narzeka na nudę. Dobrze, żeby swoje przeżycia, doświadczenia mogła przekazać w szkołach dzieciom. Jej postawa dałaby niejednej głowie dużo do myślenia.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło
Słupsk



KALENDARIUM

16 stycznia w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Damnicy odbył się IV Ogólnopolski Przegląd Widowisk Bożonarodzeniowych „Dammnickie Betlejki 2014”.

19 stycznia w kościele parafialnym p.w. A. Padewskiego w Jezierzycach odbył się XIV Powiatowy Przegląd Kolęd i Pastoralek.

22 stycznia w siedzibie starostwa odbyło się spotkanie konsultacyjne w sprawie Planu zrównoważonego rozwoju publicznego transportu zbiorowego dla województwa pomorskiego.

27 stycznia w siedzibie starostwa zorganizowano uroczystą konferencję z okazji Dnia Pracownika Publicznych Służb Zatrudnienia.

7 lutego w Damnicy odbyły się XII Powiatowe Spotkania z Poezją (Nie)Profesjonalną i III Powiatowy Przegląd Poezji Śpiewanej.

7 lutego 2014 roku w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce odbył się XV Powiatowy Konkurs Ortograficzny pn. „Mistrz Ortografii Powiatu Słupskiego”.

6-9 lutego w Ustce i Słupsku odbyła się 10. Jubileuszowa Akademia Dermatologii i Alergologii.

15 lutego br. odbyło się pierwsze spotkanie w Akademii Pomorskiej w Słupsku w ramach realizowanego przez powiat słupski projektu „Pomorskie - dobry kurs na edukację. Wspieranie uczniów o szczególnych predyspozycjach w zakresie matematyki, fizyki i informatyki”.

15 lutego w Jezierzycach odbył się IX Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich.

22 lutego br. w Gościńcu Doliny Charlotty odbył się X Bal Charytatywny na rzecz mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Machowinku.

28 lutego w Teatrze Rondo w Słupsku podsumowano uroczyste konkurs plastyczny „VI Niekontrolowany Obszar Wrażliwości”.

27-28 lutego w ośrodku wypoczynkowym „Kormoran” w Rowach na konwencie zebrali się samorządowcy z powiatu słupskiego.

5 marca w Gminnym Ośrodku Kultury w Głównycach zorganizowano pierwsze Gminne Targi Edukacyjne dla uczniów klas trzecich szkół gimnazjalnych.

List do świata

Któż z nas - i to bez względu na pozycję społeczną, stopień zamożności, stan zdrowia czy poziom świadomości - nie chciałby postrzegać siebie zwyczajnie i bez kompleksów? Ale tak nie zawsze jest

Witam wszystkich Państwa serdecznie!

Mam na imię Sebastian, mieszkam w Wierzchocinie, (gmina Smołdzino). Jestem chory na stwardnienie rozsiane już dwadzieścia lat. Jak mówi poeta: „jeszcze w zielone gramy...” Jakiś czas temu poznałem środowisko ludzi też chorych, nie tylko na stwardnienie, co jest dla mnie bardzo ważne. Otrzymałem dużo pomocy, za co jestem im wdzięczny. Walczę o zdrowie już jakiś czas i to nie koniec. To nie bitwa z chorobą, traktuję ją jak surowego nauczyciela. Myślę, że na przełomie tych lat (co może wydawać się dziwne) wiele pozytywnego mi już dała. Wierzę też, że jeszcze dużo otrzymam.

Od miesiąca jestem uczestnikiem Środowiskowego Domu Samopomocy w Gardnie Wielkiej. Dzięki takim domom w końcu możemy po prostu żyć. Nasze pragnienia są podobne do pragnień ludzi zdrowych. Jesteśmy, myślę, tacy sami. Jeśli nas coś dzieli, to natężenie lęku przed chorobą. Potrzebujemy Was, ale też możemy dużo dać. Ten świat jest dla nas wszystkich.

Dodam jeszcze, co daje mi siłę, radość i wnosi spokój. W związku z tym co się wydarzyło w moim życiu (mam na myśli chorobę) - zacząłem doceniać to, czego nie widziałem będąc zdrowym, (co nie znaczy, że nie chcę być zdrowy). Zaczęłem znowu dostrzegać wszystko co jest obok mnie: wiatr, słońce, drzewa, to co mogę widzieć, słyszeć. Choroba może mi to jednak kiedyś odebrać, tym bardziej myślę, że najważniejsze jest „tu i teraz...” Pamiętam pewną dziewczynkę zapytaną przez swoją mamę o najpiękniejsze słowo świata, odpowiedziała: życie. Myślę tak samo!

Sebastian Żebrowski

Předstawiając list otwarty pana Sebastiana, naszego nowego podopiecznego, pragnę przybliżyć istotę naszej współpracy z osobami wymagającymi wsparcia. Któż z nas - i to bez względu na pozycję społeczną, stopień zamożności, stan zdrowia czy poziom świadomości - nie chciałby postrzegać siebie zwyczajnie i bez kompleksów? Przecież wszyscy widzimy siebie - oczyma

innych. Każdy też z nas oczekiwał, oczekuje i będzie spodziewał się kiedyś jakiejś pomocy, jakiegoś wsparcia dla podtrzymania równowagi psychicznej. Nie jesteśmy żadnym wyjątkiem, bo wszyscy bez wyjątku lękamy się izolacji. Wszyscy też pragniemy integracji z innymi, przyrodą i dostępnym dla nas

światem. Nasze zrozumienie i zwyczajna akceptacja ludzi z niepełnosprawnością czy upośledzeniem - czyni nas lepszymi, niż sami często o sobie myślimy.

Zmieniła się na lepsze edukacja i świadomość społeczna na temat „inności” ludzi z niepełnosprawnością. Nie musimy więc odwoływać się tylko do humanitarnych wartości i ideałów. Śmiem twierdzić, że świadomość uszlachetnionej części naszego społeczeństwa, samoistnie prowokuje je do - nie tylko akceptacji - ale i bliższego zainteresowania ich życiową sytuacją, także okazywaniem emocjonalnych i przyjacielskich więzi. Ten osobliwy „egzamin dojrzałości” jest już w naszym społeczeństwie powszechny.

Prowadzona polityka społeczna w gminie Smołdzino, dodatkowo te więzi wzmacnia i utrwala.

Powszechnie już wiadomo, że skuteczność każdego przedsięwzięcia (także terapii) zależy nie od pomysłu - ale determinacji. Jakakolwiek rezygnacja w trakcie wywołuje błędne przekonanie o nieskuteczności wcześniejszego zamierzenia. Taką mylną opinią - niejednego wpędziła w dodatkowe kompleksy. Wiedząc o tym zagrożeniu, konsekwentnie utrwalamy u naszych podopiecznych przekonanie o korzyściach zdrowotnych każdego wysiłku, oraz każdej sugerowanej przez nas aktywności.

Ostatnio nasi uczestnicy przebywali na turnusie rehabilitacyjnym w Tyliczu, w ośrodku „Pod Samowarem”. Nazwę tego ośrodka pragnę podkreślić dlatego, bo otrzymali tam komfortową opiekę, łącznie z wyjątkową życzliwością. Każdy dzień był celowy, bogaty także w działania rekreacyjno-kulturalne.

Radość podopiecznych z tamtego wypoczynku, także nam, pracownikom ŚDS przyniosła wiele satysfakcji. Wiedząc, że często ukrywają oni swoje emocje i uczucia - staramy się je wyzwalać w codziennej, twórczej i wielozadaniowej pracy z nimi.

Maria Matczak
Środowiskowy Dom Samopomocy
w Gardnie Wielkiej

Mieczysław Jaroszewicz, najdłużej kierujący słupską placówką muzealną, stworzył z niej szczególne sanktuarium piękna i muzealnictwa

Zasłużony muzealnik

„Starość przychodzi dopiero wtedy, gdy zaczynamy mieć więcej wspomnień niż marzeń” - takie słowa skierowałem do Mieczysława Jaroszewicza, ustępującego dyrektora Muzeum Pomorza Środkowego, na spotkaniu pożegnalnym 18 grudnia 2013 roku w salach bankietowych restauracji „Aureus” w Słupsku. Uroczystość była imponująca. Zgromadziła nie tylko władze województwa pomorskiego, samorządu Słupska i powiatu, ale większość postaci znaczących na kulturalnej mapie regionu, liczne delegacje różnych instytucji, władze gmin, delegacje muzealników z Pomorza i wiele innych osób.

Mieczysław Jaroszewicz, najdłużej kierujący placówką muzealną w Słupsku, stworzył z tej instytucji szczególne sanktuarium piękna i muzealnictwa. Ze Słupskiem związany jest od początku pracy zawodowej, gdzie po ukończonych studiach uniwersyteckich w Poznaniu przeszedł wszystkie szczeble kariery zawodowej. Jest twórcą wielu wydarzeń kulturalnych. Muzeum Pomorza Środkowego dyktował nieprzerwalnie 31 lat. Czym się szczególnie zasłużył?

- Organizacja festiwalu organowego w kościele św. Jacka była przedsięwzięciem wyjątkowym. Wyjątkowość ta miała podwójny wymiar - mówi M. Jaroszewicz. - Inicjatywa zrodziła się w 1982 roku w wyniku przyjacielskich rozmów z ówczesnym dyrektorem Krajowego Biura Koncertowego w Warszawie, Zbigniewem Pawlickim. Słupsk był wówczas „białą plamą” w pasie

nadmorskim, między Kamieniem Pomorskim a Oliwą, jeśli chodzi o koncerty organowe. A po drugie - w czasie stanu wojennego byłem dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Słupsku. Według ówczesnych władz politycznych organizowanie koncertów organowych w kościele św. Jacka - to napędzanie ludzi do kościoła. Odpuszczono mi, jak zapytałem, gdzie w Słupsku poza kościołem są organy,

Przy organizacji FPP pracuję nieprzerwanie od 1969 roku, najpierw byłem kierownikiem biura, następnie komisarzem, a od kilku lat jestem członkiem komitetu organizacyjnego i wiceprezesem Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Jako komisarz w 1975 roku, na prośbę Jerzego Waldorffa układałem regulamin Estrady Młodych. Jako kuriozum - z dzisiejszego punktu widzenia - dodam, że miał być on zatwierdzony w wydziale kultury KC PZPR oraz oczywiście w Departamencie Muzyki MKiS w Warszawie. Ale inicjatywa pięknie zaowocowała i trwa do dziś. A wyłowiono dzięki niej znakomite talenty. Wymienię tylko Ewę Pobłocką, Rafała Blechacza czy Krystiana Zimmermana. Ten ostatni nie był oceniany w ramach



Fot. J. Maziejuk

na których można wykonywać muzykę organową. Cieszę się, że inicjatywa przyniosła trwałe owoce i koncerty organowe poszerzone o muzykę kameralną przetrwały ponad trzydzieści lat.

Coroczny Festiwal Pianistyki w Słupsku ma też wymiar podwójny. Melomani mają okazję wysłuchać interpretacji dzieł muzyki fortepianowej w wykonaniu czołowych pianistów. Równoległe odbywa się przesłuchanie młodych pianistów w Sali Rycerskiej muzeum, gdzie pojawiają się nowe talenty na miarę ogólnopolską i światową.

Estrady Młodych, ponieważ był już kandydatem na konkurs Chopinowski w Warszawie, który oczywiście wygrał „w cuglach”.

- Trudno mi mówić o największym osiągnięciu zawodowym w Muzeum Pomorza Środkowego - stwierdza dyrektor Jaroszewicz. - Oceniam, że wszystkie nasze działania były ważne i celowe. Dokonałmy całkowitej rewitalizacji Zamku Książąt Pomorskich, osuszaliśmy mury, wymieniliśmy system grzewczy, okna, udostępniliśmy wieżę zwiedzającym, zaadaptowaliśmy piwnice na restaurację. Powstała stała

ekspozycja o dziejach słujska, zrewitalizowane zostały ogrody zamkowe, relokowaliśmy Spichlerz Richtera i zagospodarowaliśmy Plac Rybacki. I oczywiście powiększyliśmy stałą kolekcję prac Stanisława Ignacego Witkiewicza - do 265 sztuk.

Można by jeszcze wymienić wiele innych pomysłów dyrektora Jaroszewicza, zrealizowanych na chwałę miasta i regionu. Skansen Kultury Ludowej Pomorza w stolicy budownictwa szachulcowego w Swołowie to największe przedsięwzięcie ostatnich lat. Powstały „Jarmarki Gryfitów”, organizowane są konferencje witkacowskie o charakterze międzynarodowym. Zbiory muzealne powiększone zostały z 12 tysięcy do około 35 tysięcy eksponatów. Przybyły w sumie cztery restauracje i jeden hotel, działa elektrownia przy Młynie Zamkowym. Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach rozbudowano od jednej zagrody do trzydziestu obiektów. Zapoczątkowano takie imprezy, jak „Czarne Wesele”, „Jesień się pyta co lato zrobiło”. Ponadto Muzeum Pomorza Środkowego wpisane zostało do Państwowego Rejestru Muzeów.

- Pozostało mi jeszcze jedno marzenie - na zakończenie rozmowy dodaje M. Jaroszewicz. - To adaptacja na cele muzealne dwóch pozyskanych spichlerzy na rzecz. Mają powstać tam nowe ekspozycje, między innymi wszystkich prac Witkacego, malarstwa XIX, XX i XXI wieku z klasykami - Matejką, Pechsteinem, Gotlibem itd. Ponadto pokazana zostanie tam kultura pomorska, historia Słupska powojennego, kartografia, a także osiągnięcia cywilizacyjne na Pomorzu. Ale to już będzie zadanie mojej następczyni Marzenny Mazur. W Słupskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym chciałbym być pomocny przy organizowaniu kolejnych Festiwalu Pianistyki Polskiej i Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

P.S. Mieczysław Jaroszewicz urodził się w 1942 r. w Grodnie. Do Słupska przyjechał w 1964. Jako absolwent kulturoznawstwa i historii sztuki podjął pracę w Powiatowym Domu Kultury. Potem był nauczycielem historii w szkole w Kobylnicy. W latach 1969 - 1973 pracował w słupskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Następnie był zatrudniony w wydziale kultury, najpierw Urzędu Miejskiego, a następnie Urzędu Wojewódzkiego w Słupsku. U schyłku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku objął stanowisko dyrektora Muzeum Pomorza Środkowego, które piastował przez ponad trzydzieści jeden lat i znacząco wpłynął na rozwój placówek kulturalnych w regionie słupskim. W czasie uroczystości pożegnalnej M. Jaroszewicza, marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk przekazał następczyni dyrektora - Marzannie Mazur akty notarialne dwóch spichlerzy przy ulicy Szarych Szeregów w Słupsku, które zwiększą możliwości wystawiennicze słupskiego muzeum. (W.L.)

Dyrektorka - animatorka

Danuta Sroka - dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku została laureatką VII edycji ogólnopolskiego Konkursu dla Animatorów Społecznych im. Heleny Radlińskiej



To już kolejna ogólnopolska nagroda przyznana D. Sroce w 2013 roku. W czerwcu została finalistką prestiżowego Konkursu Stella Virium, organizowanego przez Fundację Rozwoju Kwalifikacji Stella Virium w Krakowie. Wcześniej, bo w maju została laureatką „Białego Bociana 2013” - nagrody Starosty Słupskiego za album „Fotografia chłopów pomorskich”, wydany pod jej redakcją. Podczas XIV Kościerskich Targów Książki Kaszubskiej i Pomorskiej „COSTERINA 2013” otrzymała nagrodę główną w Konkursie Literatury Pomorskiej.

Pomysłodawcą i organizatorem Konkursu dla Animatorów Społecznych im. Heleny Radlińskiej jest Centrum Wspierania Aktywności Lokalnej CAL we współpracy z Krajowym Ośrodkiem Europejskiego Funduszu Społecznego. Konkurs wyróżnia i promuje ludzi, którzy poprzez swoją pasję oraz działania społeczne pobudzają aktywność innych, ożywiają lokalną społeczność, tworzą ciekawe inicjatywy. Nagroda wyznacza kierunek działania animatorom społecznym w Polsce oraz zachęca do korzystania z dobrych praktyk, dzielenia się kompetencjami z innymi podmiotami i zawierania porozumień o partnerstwie w celu pozyskiwania funduszy na działania

społeczne z Europejskiego Funduszu Społecznego.

Jest to prestiżowa, honorowa nagroda przyznawana w dowód uznania dotychczasowych osiągnięć, która nie ma wymiaru ekonomicznego. Laureat otrzymuje symboliczną statuetkę oraz list gratulacyjny. Nie splendor jednak, lecz pozytywna ocena jego pracy przez ludzi, na rzecz których pracuje jest największym zaszczytem dla animatora społecznego. Kandydatów do wyróżnienia zgłaszają osoby, grupy, środowiska, instytucje lub organizacje, z którymi pracuje dany animator, co stanowi dla niego tym większą wartość. Zgłoszenie do konkursu jest wynikiem dostrzeżenia w środowisku wartości i sensu wspólnego działania w kontekście społecznym oraz oceną wymiernych efektów działań dla regionu.

Regionalny Ośrodek EFS też wystawił referencje, które rekomendowały Danutę Srokę do nagrody. Kapituła Konkursu im. Heleny Radlińskiej wzięła pod uwagę przede wszystkim działalność laureatki na rzecz wolontariatu w Miejskiej Bibliotece Publicznej (Społeczna Pracownia Digitalizacji), tworzenie klastrów w kulturze (Bałtycka Biblioteka Cyfrowa - 26 instytucji współtworzących) oraz umiejętność pozyskiwania funduszy we współpracy partnerskiej. Zdobyte środki są wykorzystywane m.in. w działaniach biblioteki na rzecz seniorów, na współtworzenie

projektów animacyjnych związanych z edukacją pozaszkolną, takich jak: Fotografia chłopów pomorskich, Młodzież na tropach historii, Pomorscy osadnicy i inne.

Patronką konkursu jest Helena Radlińska, twórczyni pedagogiki społecznej w Polsce, która jak nikt inny zdawała sobie sprawę z tego, że animatorzy są niezbędnym czynnikiem rozwoju lokalnej społeczności. Radlińska dostrzegła siły społeczne, swoistą zależność między jednostką a środowiskiem, które tworzą nieograniczone możliwości oraz przestrzeń dla pracy animatora. Kapitułę konkursu tworzą laureaci poprzednich jego edycji. Wyróżniła ona siedmiu animatorów, spośród około siedemdziesięciu zgłoszonych z całej Polski. Uroczyste wręczenie statuetek odbyło się w Warszawie 18 listopada ub. roku podczas konferencji podsumowującej działalność sieci Regionalnych Ośrodków EFS.

Krajowy Ośrodek EFS oraz CAL ściśle ze sobą współpracują przy organizacji corocznych konferencji, które są świetną okazją do spotkań i dyskusji środowisk zaangażowanych w animację rozwoju lokalnego w Polsce, a także w zakresie edukacji związanej z animatorami w Regionalnych Ośrodkach EFS.

Krzysztof Skrzypiec, Słupsk

Koła Gospodyń Wiejskich potęgą są i basta! - ogłaszam, zmieniając nieco zdanie Stanisława Wyspiańskiego. Do takiej wiedzy dochodzę, obejrawszy w sobotę 15 lutego IX Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich w Jezierzycach. Do turniejowych potyczek stanęło dziewięć kół z powiatu słupskiego: KGW Jezierzycy, Kobylnica, Damnica, Dębica Kaszubska, Objazda, Warcino, Łebień i Stowięcino. Z przyczyn regulaminowych poza konkursem pozostali laureaci poprzedniej edycji. Nie znaczy to wcale, że tylko w tych miejscowościach działają KGW. Udział w turnieju jest dobrowolny, ale wymaga podporządkowania się regulaminowi oraz przygotowania prezentacji przewidzianych przez organizatora, czyli Pomorski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Gdańsku Oddział w Słupsku, Gminę Słupsk i Starostwo Powiatowe w Słupsku. Podjęcie wyzwania wymaga wysiłku, odwagi i determinacji oraz pewnych środków finansowych, mimo że zadania turniejowe służą uczestnictwu w szeroko rozumianej kulturze przez zabawę.

KGW skupiają najaktywniejsze, najbardziej twórcze i przedsiębiorcze panie wiejskich środowisk. Z pewnością nie brak im domowych i zawodowych obowiązków. Jednak potrzeba społecznej identyfikacji, spełnienia towarzyskiego, aktywności twórczej i przede wszystkim działanie w i dla najbliższego środowiska decyduje o wyjściu poza własne oplotki.

Niewielkie pod względem organizacyjnym, liczące kilkanaście pań lub pań i panów (KGW Objazda) koła, zróżnicowane pod względem organizacyjnym i prawnym, są w swoich małych społecznościach ostoją tradycji i rzeczywistą kotwicą kulturą. Otwarte na potrzeby własnych środowisk, które znają jak nikt inny, przejmują często funkcje instytucji kultury, ocalając od zapomnienia tradycyjne sprzęty do-

Wracałam zauroczona klimatem, autentycznością występów prawdziwych wiejskich artystek, ich przekonaniem o pełnoprawności ludowej i wiejskiej kultury

Na wesoło i poważnie



Fot. J. Maziejuk

gospodyń wiejskich są inicjatorami działań kulturalnych, niemal autentycznymi instytucjami kultury. Przykładem mogą być Rowy, znana miejscowość letniskowa, opustoszała zimą, bo nie ma tu nawet szkoły. Jest natomiast KGW, które działa prężnie, ma własny zespół śpiewaczy „Babiniec”, organizuje spotkania z mieszkańcami, takie jak kolędowanie czy ostatki. Takich miejsc na mapie powiatu słupskiego jest kilka, dlatego rola kół KGW jest nie do przecenienia.

Warto w tym miejscu przypomnieć kilka spraw związanych z działalnością KGW. O formach ich działalności decydują ustawy i rozporządzenia, które określają też podstawy prawne. Tradycyjnie, od początku istnienia, czyli od blisko

stu trzydziestu lat istnienia, koła gospodyń wiejskich powstawały przy kółkach rolniczych. Zmiany organizacji gospodarstw rolnych oraz przemiany społeczne na wsi sprawiły, że do kół prócz rolniczek dołączały urzędniczki, nauczycielki, pielęgniarki oraz panie innych zawodów mieszkające na wsi. Miało to wpływ na sposób funkcjonowania kół. Dlatego powstają koła gospodyń wiejskich - kółka rolnicze, podlegające rejestracji w Krajowym Rejestrze Sądowym (KRS). Z chwilą dokonania rejestracji w KRS koło nabywa osobowość prawną. Taką formę prawną przyjęło na przykład koło z Objazdy. Ponadto koła gospodyń wiejskich mogą działać w oparciu o Ustawę Prawo o stowarzyszeniach z 7 kwietnia 1989 roku. Mają wówczas status organizacji pozarządowej, stowarzyszenia zwykłego lub rejestrowanego. Nie są wówczas społeczno - zawodową organizacją rolników. Takie koła w swojej nazwie na ogół posługują się zwrotem „stowarzyszenie”.

Mimo zmian formalnych nie zmieniły się cele działania kobiet. Pierwsze koła organizowały kursy szycia, gotowania oraz pieczenia, uczyły prowadzenia domu.



gospodyń wiejskich, sposoby przygotowania żywności, dawne ludowe stroje, zajęcia, obrzędy, pieśni i przyśpiewki. W wielu miejscowościach, gdzie zlikwidowano szkoły i biblioteki, koła

decydują ustawy i rozporządzenia, które określają też podstawy prawne. Tradycyjnie, od początku istnienia, czyli od blisko

Kobiety współorganizowały szkoły, ochotnicze straże pożarne, wspomagały ludzi w trudnej sytuacji i uczyły wzajemnej pomocy. Organizowały festiwale i spektakle ludowe, różnego typu biesiady. Promowały sztukę ludową. Na przestrzeni lat KGW pielegnowały polską tradycję i jednocześnie wywierały silny wpływ na rozwój polskiej wsi.

Wymagania tegorocznej edycji powiatowego turnieju były związane z podstawowymi, tradycyjnymi zadaniami KGW i zobowiązywały uczestników do współzawodnictwa w kilku konkurencjach, między innymi autoprezentacji w formie tablicy in-

w ostatnim roku. Zwycięzcami pozostałych konkurencji zostały: KGW z Warcina - w kategorii wyroby piekarnicze i cukiernicze, KGW z Damnicy - w kategorii piosenka o mojej okolicy, KGW z Kobylnicy - w kategorii sztuka ludowa w modzie na lato, KGW ze Stowięcina - w kategorii dowolnie wybrany ludowy taniec polski.

Na zakończenie turnieju, w czasie obrad jury, wystąpił dziecięcy chór „Pomorskie Słowiki” prowadzony przez panie Małgorzatę Karamańską i Elżbietę Rus. Dzieciaki fantastycznie zaśpiewały wiązankę ludowych melodii: równiutko, rytmicznie, melodyjnie. Obie panie prowadzące są eta-

towymi pracownicami Centrum Kultury Gminy Ustka, a dzieci mieszkają w różnych miejscowościach gminy. Nauka śpiewania odbywa się w miejscu zamieszkania dzieci. Wyćwiczone „po kawałku” piosenki i tańce zebrane w całość dzieci pokazały na scenie. Wartość występu to nie tylko jednorazowy zysk publiczności, to przede wszystkim inwestycja w przyszłych aktywnych uczestników i odbiorców kultury.

Dla tych dziewczynek ludowa piosenka i taniec będą uznanymi wartościami kultury. Po prostu, czym skrupka za młodo...

Publiczność dobrze się bawiła, chętni częstowali się pysznym żurkiem, chlebem ze smalcem, ciastami, herbacianką i kawą. Spotkanie odbywało się w familiarniej atmosferze, szczególnie gdy do stanowisk kół dołączyli przedstawiciele samorządów: sejmiku pomorskiego, starostwa powiatowego, ośrodka doradztwa rolniczego i gmin. Był czas na swobodne rozmowy i żarty przeplatane poważnymi społecznymi kwestiami. Potem były krótkie wystąpienia gratulacyjne, nagrody, kwiaty, słowa pożegnania i obietnica spotkania za rok.

Wracałam zauroczona klimatem, autentycznością wystąpień prawdziwych wiejskich artystek, ich przekonaniem o pełnoprawności ludowej i wiejskiej kultury.

W 2009 roku podczas Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie nie dyskutowano o kulturotwórczej roli kół gospodyń wiejskich, co nie znaczy, że cele społeczne i założenia strategiczne wówczas wypracowane są poza zainteresowaniem wiejskich środowisk. Formuła powiatowego turnieju KGW realizuje na adekwatnym społecznie poziomie ważne cele pośrednie i założenia strategiczne rozwoju i upowszechniania kultury, czyli dba o uzyskanie poparcia społecznego, w tym również polityków, dla inwestycji kulturalnych realizowanych na szczeblach lokalnym i ogólnopolskim oraz o wzrost uczestnictwa w szeroko rozumianych aktywnościach kulturalnych.

Kultura zaliczana jest często wyłącznie do sfery generującej koszty. Postrzegana jest jako luksus, nadprogramowy bonus. Tymczasem to ona sprzyja rozwojowi społeczno-gospodarczemu. Kultura uczestniczy w nim za sprawą przemysłów kreatywnych. Niemniej ważny jest wpływ pośredni, w postaci podtrzymywanych przez kulturę norm sprzyjających innowacyjności, kreatywności, wspólnemu działaniu, zaufaniu i tworzeniu kapitału społecznego.

Pokonkursowe refleksje rodzą pytania o formy, poziom i sposoby upowszechniania kultury na wsi. Odkrywamy jej złożoność i odmienność. Wynika to z historycznie uwarunkowanej wielokulturowości. Mieszają się tu tradycje i wzory wielu regionów, także fizycznie nieobecnych, jak choćby kultur kresowych. Publikacje książkowe ostatniego czasu: „Fotografie chłopów pomorskich” oraz głowczycka monografia „Przesiedlona młodość” opisują złożoność kulturową wiejskich środowisk Pomorza. Podobny charakter mają publikacje sponsorowane przez Starostwo Powiatowe



Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk

w Słupsku, w tym tomiki wierszy i antologie poezji wiejskich poetów. Wymienione działania mają wspólny ludowy, wiejski, chłopski rodowód i wszystkie powstają we wzajemnym zrozumieniu i współdziałaniu mieszkańców: zwykłych, często nieznanymi twórcami oraz władzy samorządowej wszystkich szczebli. W ten barwny plan wpisuje się również Powiatowy Turniej KGW.

Czesława Długoszek, Objazda

Poznajmy Rosję

Nie pozna Rosji ten, kto jej nie odwiedził choćby raz w życiu. Ja byłam tam tylko chwilę i moja wyobraźnia zadziałała



i finansuje Centrum Kultury i Języka Rosyjskiego w Słupsku. Do jego powstania przyczyniła się prof. Galina Nefagina - kierownik Zakładu Literaturoznawstwa Rosyjskiego Akademii Pomorskiej w Słupsku oraz Ryszard Kwiatkowski - miłośnik kultury rosyjskiej. Centrum Kultury i Języka Rosyjskiego w Słupsku realizuje szereg programów dotyczących nauki języka rosyjskiego oraz prezentacji kultury w kontekście historii, literatury, filmu, muzyki, kuchni, etc. Kursy organizowane są na podstawie publikacji drukowanych, multimedialnych programów edukacyjnych oraz nauki poprzez zabawę. Konferencję w Petersburgu poświęcono kwestii języka i kultury rosyjskiej. Zaskoczyła mnie różnorodność tematów oraz obecność ludzi różnych

Wcześniej wiedziałem o Rosji tyle, że jest to olbrzymi kraj z niezwykle piękną kulturą, tradycjami i przepychem Carskiego Siola. Rosję znałam w kontekście literackim, muzycznym, teoretycznym, takim odrobinę bajkowym. Ktoś kiedyś napisał, że Rosja to stan umysłu, to tęsknota za epokowością. Można ją kochać i nienawidzić jednocześnie, ale nie można przejść obok niej obojętnie. Każdy naród ma swój charakter ukształtowany przez klimat, tradycję, wielkość. Rosja ma zdecydowaną naturę. Rosjanie, których poznałam, to niezwykle żywili ludzie.

W dzieciństwie zaczytywałam się w bajkach Aleksandra Puszkina. Młodość dopełniały dwie postaci ballady rosyjskiej: Bułat Okudźawa i Włodzimierz Wysocki. Dorosłe życie ubogacają dźwięki tajemniczego Rachmaninowa, o którym Czajkowski mawiał, iż wprowadził muzykę rosyjską w XX wiek. Kompozycje tych genialnych rosyjskich kompozytorów przekonują i podnoszą ciśnienie, oddają charakter Rosjan. Czajkowski poetycki i wdzięczny, Rachmaninow nieprawdopodobnie emocjonalny. Tak, ci niezwykli twórcy wprowadzają nas w rosyjskie nastroje, niemniej nie pozna Rosji ten, kto jej nie odwiedził choćby raz w życiu. Ja byłam tam tylko chwilę, ale moja wyobraźnia zadziałała.

Osobiście zakochana jestem w ludowości, bowiem u podstaw teje tkwi tajemnica świata. Wszystko budzi się w umysłach ludzi, kiełkuje jak roślina, ukorzenia się głęboko w ciele i duszy człowieka. Z literatury ludowej czerpie się wiedzę jak ze studni zimną, czystą wodę. Po zabarwieniu interpretacją i nadaniu formy, chłonie się ją zachłannie. Gdy zaczynamy już czuć ciepło w duszy, spajamy myśli w całość i już wiemy, jak żyć. Poeta w takich chwilach tworzy najpiękniejsze strofy, eseista zapisuje strofice pełne głębokiej filozofii, ja zagłębiam się po prostu w inny świat. Jak dobrze jest móc marzyć. Tak pojmuję tworzenie przestrzeni, która jest podstawą naszego trwania. Wracając do ludowości i poznanej Rosji, należy zaznaczyć, że cokołem literatury rosyjskiej jest ustna twórczość ludowa - tzw. byliny, skazy, pieśni, legendy i inne przejawy folkloru. Tę ludowość czuje się w powietrzu przebywając w Rosji, wsluchując się w śpiewny język, obserwując posuwiste tańce, układ rąk i szelest długich sukien tancerek. Na ogromnym bazarze w Kaliningradzie można kupić wprost z sieci świeże ryby, kiszone liście winogron, najlepsze solone grzyby i najwspanialszy kawior na świecie.

Do Rosji wybrałam się na zaproszenie Fundacji „Russkij Mir”, która zorganizowała

narodowości i wyznań. Nie czuło się odmienności, wręcz przeciwnie.

Gwoli wyjaśnienia, Fundacja „Russkij Mir” jest organizacją upowszechniającą język rosyjski, literaturę i sztukę. Fundacja wspiera programy nauczania języka rosyjskiego w różnych krajach świata, stwarza



Fot. Archiwum Autora

warunki zdobywania wiedzy poprzez kontakty naukowe oraz wymianę doświadczeń. Te bezpośrednie kontakty są bezcenne. W dzisiejszym świecie umiejętność komunikacji opiera się nie tylko na posiadaniu wiedzy ogólnej, ale również na wiedzy lingwistycznej. Jak dobrze jest wiedzieć, że rzeczowniki i czasowniki nie istnieją w świecie, są tylko częścią języka. Oczywiście bez znajomości języków dotarcie do wiedzy jest w pewnym stopniu ograniczone. Dlatego też należy szukać tej wiedzy w komunikacji z innymi narodami, zrozumieniu obcych dla nas kultur, poszanowaniu praw i obowiązków człowieka.

Fundacja ma świetny sposób na nawiązanie dialogu międzykulturowego, a przy tym wypracowanie programów wzajemnego zrozumienia narodów. Wystarczy znać język rosyjski, by móc porozmawiać z Węgierką, Greczynką czy Kubanką. To jest niezwykle istotne w dzisiejszym rozpędzonym świecie, gdzie częstokroć postrzegamy inne narody jako potencjalne zagrożenie. Filozofia moich myśli jest może trochę naiwna, tak jak w ludowości w której nie ma zakłamania, wyznaję bowiem zasadę zaufania. Taka zasada pozwala uzdrowić osądy, nie nadużywać słów, nie potęgować antagonizmów. Czy jest sens bić się z niewiedzą, czy lepiej poukładać tak swój świat, aby stało się możliwe dotarcie do wiedzy trudnej? Zapewne na to pytanie każdy z nas ma inną odpowiedź.

Zaskoczyła mnie możliwość komunikacji, kreatywność osób pracujących w centrach na całym świecie, obecność tak zróżnicowanych kultur w jednym miejscu i w jednym czasie. Pobyt w Rosji był dla mnie wielką przygodą. Jadłam sumę w Petersburgu przy dużym okrągłym stole z koleżanką z Mongolii, Grecji i Rosji. Wybrałam się na wycieczkę z koleżankami i kolegami z Japonii, Azerbejdżanu i Niemiec. Wracałam w deszczu autobusem z uśmiechniętymi dziewczynami z Indii, Austrii, USA, Izraela. Nieznany wcześniej Wowka przywiózł dla koleżanek ze Słupska tradycyjne potrawy rosyjskie przygotowane przez jego mamę. Nie zwracał uwagi na deszcz, odległość, najważniejsze było spotkanie. To niesamowite przeżycie dla mnie. Podobne centra jak w Słupsku znajdują się w wielu krajach świata, m.in.: w Erewaniu (Armenia), w Durham, Edynburgu, Londynie (Wielka Brytania), w Ammanie (Jordania), w Guayaquil (Ekwador). W Polsce centra działają w Krakowie, Lublinie i Słupsku. Kolejne ma powstać we Wrocławiu. W centrach na całym świecie stworzono warunki do organizacji imprez artystycznych, akademickich i nieformalnej dyskusji o komunikacji między przedstawicielami różnych kultur. Nie muszą nikogo przekonywać, że kultura jest potęgą, dlatego też na jej podstawach zaczynamy od najmłodszych lat budować nasze przyszłe życie. I to jest wspaniałe.

Danuta Sroka, Słupsk

W Polsce właściciel ma prawo zniszczyć zabytek, a jego wywłaszczenie z uwagi na procedury, dowody, przewlekłość postępowania sądowego i koszty, nie wchodzi w rachubę

Wstarych, powojennych czasach, jak to się dziś ochotnie określa: brzydkich czasach, do ochrony i opieki nad zabytkami mobilizowano społeczeństwo hasłem o jego powinności obywatelskiej. Pewnie jej wyższej odmiany niż powinności w stosunku do dzieci, rodziny, innej do pracodawcy, współobywateli, szkoły, autorytetów etc., bo w stosunku do państwa, władzy, przepisów, wspólnego dobra narodowego i publicznego. Skuteczność, tego pozapolitycznego wyznacznika i testu obywatelskiego do rozumienia stosunku Polaków do własnego Państwa, była jednak znikoma.

Nie jest błędnym przekonanie, że także dziś problemy dotyczące zabytków powinny być przedstawiane z „głowy na nogi” przepisami ustawy zabytkowej z 23 lipca 2003 roku o ich ochronie i opiece nad nimi. Jest ono o tyle uzasadnione, że w ślad za historycznie już wiekowym doświadczeniem PRL-owskiego gospodarowania zabytkami, przepisy ustawy, w tym wiele innych jej towarzyszących, uwiarygodnione są aktami prawa Unii Europejskiej i jej dyrektywami.

I tak, władztwo formalne w zakresie ochrony zabytków należy do triumwiratu: organa administracji publicznej, konserwator ochrony zabytków oraz właściciel. Jednakże faktycznym suwerenem obiektu zabytkowego jest jego dysponent, dopóki sam czynnie nie zaangażuje się w jego zagospodarowanie lub nie trafi się zainteresowany

przejęciem na określony cel konkretny chętny, czyli przyszły właściciel.

Na podstawie ustawy z 2003 roku, to samorządy są zobowiązane do tworzenia gminnej ewidencji i gminnych programów opieki nad zabytkami. Z tym związane jest również uchwalanie miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego miast, miasteczek i wsi gminnych gwarantujących ład przestrzenny. Ta dziedzina urbanistyki, to dziś jeden wielki chaos trudny do opanowania, a urbanistyczna zapaść pogłębia się.

Tu partnerem dla samorządów jest konserwator formułujący wytyczne dotyczące możliwości zabudowy historycznych części i miejsc, a jednocześnie wpisujący konkretne obiekty do rejestru zabytków. Nad dziedzictwem kulturowym i ładem przestrzennym musi się pochylić konserwator zabytków i urbanista, wspólnie z samorządami, wypracowując programy rewitalizacyjne i mikroprogramy. To one głównie tworzą nowe miejsca pracy i zapobiegają wykluczeniu społecznemu. W obiektach, w obrębie miast i w rejonach wiejskich szukają pomysłów na mieszkania socjalne, przychodnie, przedszkola, świetlice środowiskowe, schroniska dla bezdomnych, domy opieki społecznej. Na wszelkie inne funkcje socjalne. Już na tym etapie niezbędnej współpracy tych trzech administracyjnych służb, rozmija się praktyka z oczekiwaniami.

Przetargi na realizację planów miejscowych wygrywają często najtańsi oferenci. Pod tym względem



Zabytki nasze - wasze

prawo o zamówieniach publicznych jest nieporozumieniem i nieszczęściem dla urbanistyki. W swoim zespole nie mają specjalistów np. od ochrony zabytków. W kraju jest bardzo niewiele dobrych planów miejscowych, eksponujących rozwiązania problemów zabytkowych. Nieporozumieniem są również konsultacje społeczne prowadzone na etapie wyłożenia opracowanych już planów, a nie na etapie przed zlecaniem ich opracowania. Terenowym suwerenem dla konsultacji winny być organizacje lokalne, pozarządowe i liderzy z grupami środowiskowymi jako partnerzy w dialogu z władzą. One najlepiej wiedzą, czego oczekują mieszkańcy od planu miejscowego, który kształtuje przestrzeń i równocześnie zabezpiecza wartość ich nieruchomości w otoczeniu miejsc zorganizowanej aktywności społecznej, społecznej i gospodarczej.

Powie ktoś, że nie dorośliśmy do rzeczowych konsultacji w sprawach dotyczących naszego otoczenia. To nie Szwajcaria, Niemcy czy Francja, to przez obywatelską pasywność ułatwienie dla samorządów do pozorowania współpracy formalnie oczekiwanej i wywołanej przepisami. Ten problem znakomicie obrazuje słupski przykład protestu grupy społecznej uczestniczącej w przemarszu

pogrzebowym browaru, w miejsce którego stanął kolejny sklep wielko powierzchniowy. Gdzieś po drodze, a wiadomo w którym miejscu i na jakim etapie budowa-



Fot. J. Maziejuk

nia projektu zagospodarowania ciekawego, poprodukcyjnego zabytku, zaniedbano konsultacji społecznych. Taka sytuacja jest nie do przyjęcia, a jednak towarzyszy znacznej części zabytków, programowo, bez głębszej wizji zagospodarowywanych.

Ocenia się, że władze samorządowe nie wykorzystują wszyst-

kich możliwości zdobycia funduszy unijnych na rewitalizację, dostępnych w latach 2004 - 2013. To były „tłuste lata” dla wizji, dobrych programów modernizacyjnych i wkładów własnych samorządów. Dla tych, które nie stworzyły ewidencji gminnej i gminnych programów opieki nad zabytkami, sprawa nie jest wstydliwa.

Wszystko to, co się dzieje wokół zabytków, rozgrywa się pod „parasolem” ustawy z 2003 roku. W wielu miastach, jak wynika z dziesiątków artykułów prasowych, to tajemnicze firmy kupują tanio kamienice z lokatorami, a gdy uda im się ich pozbyć metodami na pograniczu prawa, remontują opuszczone lokale i sprzedają z zyskiem. Pusta kamienica, nabywa dużej wartości, ale z opornym lokatorem, jest raczej niezbywalna. To, co dzieje się na kamienicznym rynku, to nie incydenty, a skala uzasadniająca na określenie jej jako pseudorynkowe zjawisko.

Są to problemy wynikające nie tyle z ustawy zabytkowej z 23 lipca 2003 roku, ile z braku ustawy reprivatyzacyjnej, której ta pierwsza winna być jednym z samodzielnych bytów prawnych, z niej wypływających. Tak ustawa zabytkowa, jak i np. powołanie Komisji Majątkowej zajmującej się rekompensowaniem Kościołowi Katolickiemu utraconych dóbr w wyniku powojennej zmiany granic i nacjonalizacji, to byty cząstkowe utworzone na komercjalizowanym rynku polskim dla różnych jego uczestników. Niby grunty, obiekty i ich otoczenie oznaczają to samo, to jednakże partnerzy dla różnych dysponentów inni i wymagania im stawiane inne, z różną kontrolą lub bez niej, zależy na jakim etapie postępowania.

W całej Polsce toczy się jeszcze



Fot. J. Maziejuk

ponad 100 procesów, w których przedstawiciele Kościoła i instytucji kościelnych domagają się nieruchomości lub odszkodowań sięgających setek milionów. Tu kłania się brak ustawy reprivatyzacyjnej, która pewnie długo się nie ukaże, bądź wcale. Może ukaże się po zakończonych procesach i uznaniu powództwa Kościoła, ale sprawy nadal będą budzić wątpliwości.



Fot. J. Maziejuk

W sferze dotyczącej zabytków, na wolnym rynku nieruchomość z obiektem zabytkowym jest towarem, tyle że specyficznym. Ustawa z 2003 roku określa, że wszelakie poczynania wokół obiektu należą do właściciela, a jego „ruchy” kontroluje na każdym etapie samorząd i głównie konserwator zabytków. Działania właściciela mają jednak taki sam charakter jak w branży obrotu nieruchomościami na wolnym rynku. Jest dysponent obiektu, sprzedający i kupujący, czyli przyszły właściciel dyscyplinowany przez konserwatora zabytków. Zgodnie z ustawą, musi dysponować on dokumentacją konserwatorską o stanie zachowania i możliwościach adaptacji obiektu, z uzgodnionym zakresem i sposobem prowadzenia prac i programem zagospodarowania. Powinien zawiadamiać konserwatora o uszkodzeniach, zagrożeniach, wszelkich zmianach, w tym dotyczących stanu prawnego. Liczy na samorząd, który ze swoich funduszy może przyznać mu dotację na remont cennego obiektu. Ma takie prawo, tylko rada miasta czy gminy, musi podjąć stosowną uchwałę. W praktyce, to jednak teoria, bo wszystkie dotacje łącznie z ministerialnymi dostępne są w trybie konkursu, w którym podstawą są: wartości artystyczne, naukowe, historyczne, wiek, stan i cenność obiektu.

Dla właścicieli zabytków nie ma ulg podatkowych, a państwo obligatoryjnie nie wspiera inwestycji prozabytkowych. Polska

to nie Francja czy Landy niemieckie, gdzie już w latach 60-tych wprowadzono ulgi, które napędziły rynek budowlany. Oprócz tego, niemiecki właściciel zabytku dostaje 50 proc. dotacji na remont, a u nas - jeden na 1000 lub jeszcze rzadziej. Jeśli prawdą jest, że własność oraz wolny rynek napędzają interesy, a rynek budowlany i nieruchomościowy jest „konikiem pociągowym” gospodarki wywołującym koniunkturę, to nie w Polsce. U nas nawet brak jest świadomości, że zgłoszenie obiektu do rejestru zabytków podnosi jego wartość.

Prosta symulacja rachunku zabytkowego mówi, że jeśli zabytków w Polsce jest (wg NID) ponad 66 tysięcy, to przy założeniu, że na jeden obiekt przeznaczony jest 500 tys. zł w obiegu rynkowym, w obrocie jest to kwota ok. 33,2 mld zł. Przyjęte dane, ilości zabytków różnej klasy i kwoty remontowe od 1 mln zł do 20 mln zł zdecydowanie mogą podnieść obroty na rynku nawet do ponad 185 mld zł.

Potwierzeniem „uchwytnego” obrotu rynkowego jest propozycja Stowarzyszenia „Domus Polonorum” mająca na celu realne zachęcenie prywatnych właścicieli do sięgnięcia po środki europejskie na

ochronę zabytków. Postuluje się utworzenie programu „Dwór - Dom Polski” z dopłatami na sfinansowanie renowacji w wysokości tylko 500 tys. zł. Pomocą można by wtedy objąć ponad tysiąc obiektów położonych w gminach wiejskich i wpisanych do rejestru zabytków. Łączne nakłady przekroczyłyby miliard złotych.

Powyższe to tylko uproszczona statystyka i zabawa cyframi, ale za tym kryje się ruch rewitalizacyjny, materiałowy, usługowy, rynek pracy. W zamian mamy martwe paragrafy ustawy zabytkowej i kompletną jej bezskuteczność. Powodem jest brak środków na modernizację, regres w przedsięwzięciach biznesowych, iluzoryczność i brak pomysłu na wykorzystanie obiektu zabytkowego. Towarzyszy temu bezradność w kierowaniu spraw do organów ścigania przeciwko osobom niszczącym zabytki (umorzenia z powodu niskiej szkodliwości czynu).

Okazuje się, że w Polsce właściciel ma prawo zniszczyć zabytek, a jego wywłaszczenie z uwagi na procedury, dowody, przewlekłość postępowania sądowego i koszty nie wchodzi w rachubę. Zresztą, wnioski konserwatora o wywłaszczenie przez starostę na rzecz Skarbu Państwa lub gminy właściwej ze względu na miejsce położenia zabytku, wymaga zaangażowania się byłego dotąd dysponenta nieruchomości, dla której nie znalazł innej alternatywy niż sprzedaż. Ale sprzedaż, to wyzbycie się kłopotu!

Za ustawową kurtyną kryją się przepisy, które należy wykonywać. Przepisy, to narzędzia prawne nakazujące. Jako prośbę, nie nakaz, traktować można apel - przypis ustawy o społecznych opiekunach zabytków. W aktualnych realiach, ten zapis ustawy jest naiwny i życzeniowy, tak



Fot. J. Maziejuk

w kontekście 30-procentowej aktywności obywatelskiej, jak i wyobrażeniach o powstaniu zastępu strażników zabytków.

Tak jak w obrocie nieruchomościami obowiązują trzy prawa na „l”, tj. lokalizacja, lokalizacja i lokalizacja, tak w odbiorze obywatelskim wszelkiej odmiany problemów wokół zabytków obowiązuje zwiokrotnie prawo na „m” - mentalność, m.... To prawo, w swojej dosadności tyczy potrzeby zmiany swoistego sposobu myślenia i stosunku do jednostki i grupy społecznej, ogólnego nastawienia i stopnia aktywności intelektualnej, uwarunkowań społecznych. Dużo tego, aż za dużo, bo sięgamy w sferę umysłowości już na poziomie mówiąc kolokwialnie, tumiwizizmu czy braku rozumnego reagowania, płycizny umysłowej, ciasnoty i ograniczoności rozumienia czegokolwiek. Państwo oczekując reagoowań analitycznych i krytycznych, ale i twórczych, z mentalnością i tak sobie nie radzi, próbując budować społeczeństwo obywatelskie, czego skutki widać gołym okiem.

Dziś Kowalski nic nie musi, ale może obudzić w sobie świadomość, że są odpowiednie przepisy, które niestety pozostają martwe, że potrzebna jest edukacja i to nie tylko mieszkańców, ale również władz samorządowych. Dlaczego ktoś ma dostawać dofinansowanie czy ulgi tylko dlatego, że ma zabytek, jeśli prowadzi w nim działalność gospodarczą, albo w nim mieszka? Czy wspólny rynek, na którym nie da się zachować kontroli przyjaznego ludzimu użytkowania zabytków w rękach świętej własności prywatnej i dziesiątków interesów jest lekarstwem na zabytkową żywotność?

Nie wiem, czy to moje czy czyjeś, ale rozumiem, że funkcjonujące dotąd programy wspierające odnowę zabytków nie bez powodu kierowane były wyłącznie na cele społeczne i kulturalne, dla których adresatami były wyłącznie jednostki samorządu terytorialnego, fundacje czy związki wyznaniowe. Jednocześnie dziwi mnie jałowość programowo-rewitalizacyjna, powtarzalność oklepanych pomysłów, brak nowatorstwa, rewolucyjności i projektowej odwagi. Nie sądzę też, by ustawa o ochronie i opiece nad zabytkami z 2003 roku mieściła się w logice oczekiwań społecznych. Państwo stać na ogólnopolską akcję budowy boisk sportowych, a probowanych społecznie i podnoszonych przez ambitne, licytujące się samorządy. Mody na rewitalizację zabytków na masową ogólnopolską skalę, widzenie w tym interesu publicznego nie było, nie ma i pewnie długo jeszcze nie będzie. Ale obym się mylił.

**Czesław Guit, Lubuń
cz.guit@poczta.onet.pl**



Fot. J. Maziejuk

Zatrzymuje czas błyskiem flesza

„Słupsk - lata 70. i 80. XX wieku - klimaty” to tytuł wystawy fotograficznej Czesława Cekały

Wystawę urządzono w Sali Wystawiennej Teatru Rondo w Słupsku. Klimaty lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku, przedstawione w czarno-białej fotografii Czesława Cekały, zachwycają precyzją i odwagą. Obraz posiada reporterski autentyzm, w którym w sposób mistrzowski współgra dokument z artystem. Każde zdjęcie uruchamia wyobraźnię odbiorcy, sprawia że myśli zaczynają wybiegać poza kadr, zagłębiają się w chwile oddalone od teraźniejszości o dziesiątki lat. Ale to przecież nasze chwile, tych wiecznie młodych czterdziesto-sześćdziesięciolatków...

Któż z nas, patrząc na zdjęcia minionych lat, nie czuje klimatu jarmarku staroci, na których kupujący mógł odnaleźć przedwojenne cuda. Dziś żelazko z duszą to rarytas, zaś lampa naftowa stanowi jedynie ozdobę rustykalnej kuchni. Na fotografiach Czesława Cekały studenckie juwenalia tętnią radością i muzyką. Pamiętamy, iż w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dominowały kwieciste sukienki oraz modne grochy. Kolory kwiatów są nieodgadnione, ale przecież możemy uruchomić wyobraźnię. Roześmiane dziewczęta z tamtych lat podobne są do współczesnych nastolatek, w młodości bowiem nie ma różnic. Jest tylko czas. I to jest siła czarno-białych zdjęć, która umożliwia domalowanie kolorów myślą, cofnięcie czasu, zadumę nad chwilą. Osobiście poruszyły mnie zdjęcia, które zostały wykonane podczas obchodów Tygodnia Teatru w Słupsku. Zastanawiam się, kto sterował bajkowymi olbrzymami na Placu Zwycięstwa? Pan Czesław zapewne wszystko wie o ludziach z fotografii, o sytuacjach, o miejscach i czasie.

Zapewniamsię, iż podróż w czasie z fotografią artysty nie dłuży się, kreując wciąż nowe historie: strajk w Sezamorze, zawody wędkarskie, pokazy lotnicze, zalane wodą Osiedle Niepodległości. Fragmenty życia słupszczyzan są pełne prawdy i życia. Już w chwili ujęcia bystre oko fotografa wychwyciło odpowiednią chwilę i kadr, sprawiając że obraz zatrzymany w czasie stał się niezwykły w odbiorze. Wystawa oddała klimat

minionych lat w sposób pogodny i niezwykle emocjonalny. I to jest potęgą jego zdjęć.

Należy przy tym wspomnieć, iż dorobek twórczy autora jest imponujący, bowiem już w 1986 roku eksponował swoje prace fotograficzne pt. „Światłem malowane pejzaże”, następnie w 1988 roku „Pejzaże Czesława Cekały”, w 1989 - „Kaszubszczyzna mało znana”, zaś w 1990 roku - „Twarze fotografii”. Prace autora były prezentowane zarówno w Polsce, jak i w ZSRR. Czesław Cekały nie tylko prezentował swoje prace na wystawach indywidualnych i zbiorowych, ale otrzymał wiele wyróżnień. W latach 1972 - 2005 pełnił funkcję sekretarza Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego, był członkiem komisji egzaminacyjnej przy Izbie Rzemiosła i Przedsiębiorczości, otrzymał dyplom mistrzowski w zakresie fotografowania. W 1980 roku zdobył I miejsce w dorocznym Przeglądzie Twórczości STF, rok później otrzymał medal na IV Plenerze Fotograficznym Krajów Nadbałkańskich, zdobył I miejsce w konkursie fotograficznym pn. „Z kamerą przez życie” oraz I miejsce w konkursie fotograficznym „Mój region”.

Wiele jeszcze było tych nagród i wyróżnień, zatrzymam się na 1983 roku, gdzie talent Czesława Cekały przedstawiła okładka „Zbliżeń”. Nie można pominąć zdjęć autora prezentowanych w albumie wydanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w 2012 roku pt. „Fotografia chłopów pomorskich”. Jego zdjęcia wzbogaciły album swoim niezwykłym potencjałem, wyrazistością i autentyzmem. Na fotografiach nie ma przekłamań. Jeżeli chłop jest szczęśliwy po ciężkiej pracy w polu, to szczęście maluje się na jego twarzy. Kąpiel w beczkach jest swobodnym obrazem radości. Kombajnista jak model zerka z obłoku kurzu w stronę aparatu, uśmiecha się szczerze, być może do fotografa, a może do siebie samego. I taki właśnie jest Czesław Cekały, autentyczny, wyrazisty, wciąż pędzi do przodu, nie zatrzymuje się w życiu nawet na chwilę. Zatrzymuje jedynie czas błyskiem flesza.

Danuta Sroka, Słupsk

W Zaświatach było wielkie poruszenie, a Witek rozparty na gwiazdnym fotelu z ukontentowaniem odbierał gratulacje od innych dobrych duchów



Zafascynowało go morze

W 2012 roku, 4 listopada odszedł w zmerch Witold Lubiniecki, znakomity artysta malarz marynista. Przegrał heroiczną walkę z chorobą, która pokonała go definitywnie. Miał 72 lata i jeszcze niedawno duże plany na przyszłość. Na usteckim cmentarzu żegnało Witka mnóstwo osób. Przypominam sobie dokładnie ten dzień. Burmistrz Jan Olech, mówiąc łamiącym się głosem o przymiotach zmarłego przyjaciela, podkreślał jego wielkie zaangażowanie w sprawy miasta, któremu poświęcił swój talent artystyczny i organizacyjny. Wskazywał na dobroć i uczynność artysty, który inspirował ludzi z różnych środowisk. Także dla niego był autorytetem i wzorem postępowania. Prezydent Słupska Maciej Kobyliński również w pięknych słowach podziękował Witoldowi za przyjaźń i zasługi dla grodu nad Słupią. Wiceprezes zarządu okręgowego i władz krajowych Związku Polskich Artystów Plastyków, uznany artysta plastyk Marian Zieliński, podkreślił niezwykle zasługi zmarłego kolegi, zwłaszcza w organizowaniu krajowych i międzynarodowych plenerów plastycznych. Po oficjalnym pożegnaniu długo jeszcze stały na usteckiej nekropolii grupki osób, w których żywo wspominano zmarłego.

Poznałem Witolda Lubinieckiego w czerwcu 1976 roku. Pracowałem wówczas jako animator kultury w Wojewódzkim Domu Kultury. Witek rej wodził wśród artystów. Kwitło wówczas życie towarzyskie, plastycy mieli różnorakie zajęcia zawodowe, satysfakcję i fantazję nie ograniczoną sprawami materialnymi. Lubiniecki ukończył Wydział Sztuk Pięknych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu w pracowni malarstwa prof. Stanisława Borysowskiego. W 1964 roku otrzymał nakaz pracy w Szczecinku, gdzie był najpierw nauczycielem, a później kierował tamtejszym wydziałem kultury w powiecie. W tym samym roku wstąpił do Związku Polskich Artystów Plastyków, co po kilku latach zaowocowało wieloma niekonwencjonalnymi inicjatywami środowiskowymi.

Kiedy w 1974 roku przeniósł się do Słupska, poza własną twórczością w pełni objawił się jako świetny organizator i pomysłodawca działań artystycznych. To z jego inicjatywy w pobliskiej Ustce odbywał się w latach 1976 - 1980 ogólnopolski Plenier Tworzyw Sztucznych, a rzeźby ozdabiały place i skwery tego miasta, szczególnie w pasie nadmorskim. Kolejnym wielkim przedsięwzięciem artystycznym i

organizacyjnym były słynne w całym kraju w latach 1984 - 2000 plenery malarskie „M jak Morze”, których komisarzem był już wówczas szeroko znany Witold Lubiniecki. Na plenery te przyjeżdżali najwybitniejsi polscy współcześni artyści i udział ich był nie lada wyróżnieniem. Niektóre z powstałych na tych plenerach obrazów wiszą do dziś w domu twórcy, jako dowód wdzięczności za zaproszenie do takich działań.

Dzięki jego ogromnym staraniom w starym usteckim spichlerzu powstała w 1987 roku Bałtycka Galeria Sztuki, działająca w ramach ówczesnego Biura Wystaw Artystycznych w Słupsku. Obecnie mieści się tam Centrum Aktywności Twórczej. W 1989 roku, drogą wielu wyrzeczeń i ciężkiej pracy, zbudował swoją życiową przystań, własny dom w wymarzonej Ustce. - Od kilkudziesięciu lat mieszkam coraz bliżej morza. Jak powiedział Joseph Conrad, Pan Bóg marynistów zabiera z lądu i przenosi nad morze - stwierdził po latach. - Absolutnie zafascynowało mnie morze po tym, jak przed laty zacząłem żeglować.

W swoich poglądach był konserwatywny. Uważał, że sztuka się spauperyzowała. - Trzeba oddzielić sztukę

performerów od sztuki prawdziwej, klasycznej. Interesuje mnie człowiek, jego emocje i stan ducha, które wyraża; zastanawiam się nad techniką, perspektywą, światłem - wylizal.

Dlatego dobrze rozumiał się z dużo starszym, nieżyjącym już też, legendarnym malarzem i grafikiem Mieczysławem Kościelniakiem, który także mieszkał w Słupsku i Ustce, i również kochał sztukę klasyczną.

„Malarstwo Lubinieckiego reprezentuje kierunek, w którym tradycyjne formy i tematy marynistyczne, tzn. praca, historyzm, rodzajowość w technice opisu zastępuje nastrój, metafora, alegoria, symbol, wyrażające nową koncepcję realizmu i unowocześnionego koloryzmu. Nie znaczy to jednak, że ta sztuka tak pojęta zrywa z tradycjami Ferdynanda Ruszczyca, Konrada Krzyżanowskiego, Józefa Pankiewiczza, Władysława Ślewińskiego czy Leona Wyczółkowskiego. Bo przecież morze w obserwacji i przeżyciu Lubinieckiego, to romantyczny żywioł sam w sobie z bogactwem gam kolorystycznych, nastrojów, z różnorodnością kształtu i ruchu fal” - napisał w 1994 roku prof. Jan Tuczyński z Uniwersytetu Gdańskiego, wybitny znawca marynistyki w literaturze i sztuce.

Za swojego niedościgniętego mistrza uważał Lubiniecki J. M. Williama Turnera, u którego dostrzegał zapowiedź impresjonizmu. Specjalnie pojechał do Londynu, aby zobaczyć jego oryginalne płótna i przyrzec się temu, co go urzekło w genialnym malarstwie. Ale we wstępie do swojego ostatniego albumu napisał: „Przez długie lata malowania doszedłem do wniosku, że silenie się na oryginalność nie odda tej szczeroci, która jest zakodowana w nas i dlatego sięgnąłem do jej głębokich i nieklamanych pokładów. Wbrew pozorom, oglądając tak zwane awangardowe wystawy, nie widać ich autorów, widać określoną modę i pęd do szokowania. Moja oryginalność polega na tym, by malowane tematy były wpisane w partyturę harmonii świata. Mój temat wiodący - morze i szeroko pojęta marynistyka daje mi możliwość wyrażania wielowątkowych nastrojów. (...) Pod każdą szerokością geograficzną morze ma inne oblicze. Polując na jego różne nastroje mam niezgłębioną skarbnicę tematów.”

To doskonale widać. Byłem na wielu wernisażach artysty, przejrzałem nieco prac z jego ogromnego zbioru. Jest to dorobek imponujący, nie tylko w sensie artystycznym, ale też ilości obrazów namalowanych w całej niemal Europie. Czterokrotnie przemierzył Norwegię aż po Nord Cap, był w Finlandii, Rosji, na Ukrainie, we Włoszech, w Turcji, Holandii (wystawa), Grecji (wystawa na wyspie Paros), Niemczech (kilka wystaw), Francji, Macedonii, Chorwacji. W sumie Lubiniecki brał udział w sześćdziesięciu wystawach indywidualnych oraz stu sześćdziesięciu wystawach

zbiorowych w Polsce i za granicą - nawet w odległej Japonii. Jego prace znajdują się w wielu zbiorach muzealnych w kraju, a także w Niemczech i Macedonii. Kilka uznanych firm ma stałe kolekcje jego prac, nie mówiąc już o dziesiątkach indywidualnych admiratorów jego sztuki. Zdobywał laury na licznych konkursowych wystawach, m. in. otrzymał drugą nagrodę w międzynarodowym konkursie malarstwa marynistycznego w Fiera di Ostelato we Włoszech. W 1988 roku na prywatnej audycji podarował Ojcu Świętemu obraz „Impresja morską”, który Jan Paweł II przyjął i pobłogosławił. Kościół Najświętszego Zbawiciela w Ustce szczyli się czternastoma płótnami artysty, z czego dwa z podarowanych obrazów mają wymiary 420 x 220 cm. Swoje dzieła ofiarowywał także na różnorodne akcje charytatywne. W 2010 roku wydano w Ustce kalendarz, który zawierał reprodukcje specjalnie namalowanych przez Witka dwunastu obrazów; każdy adekwatny do danej pory roku. W 1990 roku Lubiniecki, jako pierwszy w Polsce po stanie wojennym, reaktywował w Słupsku okręg ZPAP i został jego prezesem. Kilka lat później okręg słupski połączył się z okręgiem koszalińskim i Lubiniecki był jego wiceprezesem. W 1998 roku założył Środkowopomorski oddział Stowarzyszenia Marynistów Polskich z siedzibą w Ustce, był jego prezesem do października 2011 roku.

Tę niesamowitą witalność artystyczną i społeczną, najbardziej znanego i rozpoznawalnego - obok M. Kościelniaka - artysty dostrzegały władze samorządowe Słupska, Ustki oraz województwa. Odznaczony został m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, odznaką Zasłużony Działacz Kultury, nagrodą Ministra Kultury i Sztuki, nagrodą Wojewody Słupskiego, nagrodą I stopnia Prezydenta Miasta Słupska, medalem „Za Zasługi dla Miasta Słupska”, medalem „Zasłużonemu dla Marynistyki Polskiej”, nagrodą Ambasadora Miasta Ustki.

Marszałek Województwa Pomorskiego przyznał mu za wybitne osiągnięcia Pomorską Nagrodę Artystyczną. Włodarze Słupska i Ustki z dwoma sponsorami ufundowali piękny album z wyborem prac artysty, który zadedykował ludziom morza i miłośnikom sztuki marynistycznej.

Witold miał siły niespożyte. W latach 2007 - 2010 organizował plenery malarskie pn. „Art Miting”, opłacane z kieszonki miasta, w których znowu brali udział wybitni polscy malarze: E. Dwurnik, F. Maśluszczak, K. Bereźnicki, W. Łajming, S. Mazuś i wielu innych. Na uroczystym podsumowaniu trzeciego pleneru profesor Franciszek Maśluszczak dziękował serdecznie burmistrzowi Janowi Olechowi za tę bezcenną inicjatywę, a profesor Kiejstut Bereźnicki nie mógł się nachwalić Witka, którego - jak powiedział - „zna i ceni od bardzo wielu

lat.” Każdy z uczestników pleneru zostawiał w darze miastu jeden ze swoich obrazów. Jest ich już 35, wszystkie wiszą na ścianach ratusza i w ten sposób powstaje unikatowa w skali kraju galeria. Interesant urzędu czy przechodzień może obcować ze sztuką najwyższych lotów. Wartość tych dzieł, artystyczna, ale i także materialna, z roku na rok stale wzrasta. Za kilka lat Ustka będzie się szczycić wybitną kolekcją dzieł sztuki o trudnej do oszacowania wartości, ale urząd jej nie pomieści.

- Miastu przydałoby się lokum na galerię, w której byłaby pracownia, sala wystawowa, a wybitni twórcy, nie tylko z Polski, mogliby przyjeżdżać na plenery, zostawiać tu swoje prace i słać nam piękny kurort, powiat i całe Pomorze. Jestem w takim wieku, że dojrzałem do pewnych spraw artystycznych i organizacyjnych, mam pewne przemyślenia - zwierzał mi się Witek. Rozmawialiśmy wówczas, że takim dobrym miejscem byłaby tzw. Czerwona Szopa w porcie, którą Urząd Morski przekazał powiatowi słupskiemu. Decyzja o tym zapadła niedawno przed tamtą rozmową.

Witek sprawił, że usteczki oddział Stowarzyszenia Marynistów Polskich jest najprężniejszy i zrzesza artystów z różnych dziedzin sztuki. We wrześniu 2011 roku zorganizował, po raz pierwszy w Polsce, przy współudziale Zarządu Głównego SMP, sympozjum nt. twórczości marynistycznej z udziałem artystów z różnych dyscyplin sztuki. Po raz pierwszy byli na nim fotograficy, których poziom i profesjonalizm zaskoczył organizatorów. Miesiąc później, skoncentrowany na leczeniu, zrezygnował z funkcji prezesa i nowym szefem Oddziału został wybrany słupski fotografik, Zbigniew Suliga. W uznaniu zasług dla naszego kurortu, we wrześniu ubiegłego roku Rada Miejska w Ustce nadała Witoldowi Lubinieckiemu tytuł Honorowego Obywatela Ustki. To najbardziej zaszczytne wyróżnienie spotkało wcześniej tylko dwie osoby. W pierwszą rocznicę śmierci Witolda Lubinieckiego jego przyjaciele zorganizowali w domu kultury piękny koncert, poświęcony artyście i dedykowany również innym zmarłym zasłużonym usteczanom. Prowadził go redaktor Ryszard Hetnarowicz z telewizyjnego Kanału 6, a całość wyreżyserował i oprowadził muzycznie znakomity muzyk i reżyser estradowy Adam Wroński. Przy szczerze wypełnionej sali wystąpiły usteczki wokalistki: Karina Wera, Patrycja Baczyńska i Natalia Kempa. Adam sam akompaniował, sam też śpiewał własne utwory. Wokalistkom towarzyszył inny miejscowy muzyk - Krzysztof Szpot.

Myślę sobie, że w Zaświatach tego dnia było wielkie poruszenie, a Witek rozparty na gwiazdnym fotelu z ukontentowaniem odbierał gratulacje od innych dobrzych duchów.

Leszek Kreft, Ustka

Plebańce pod Brasławiem

*Zauroczył mnie język starych dokumentów,
a z ogromnym wzruszeniem odczytałam na
starej kartce odręcznie zapisane nazwisko
mojego dziadka, którego nigdy nie widziałam*

Dawna wieś Plebańce przetrwała na starych fotografiach, w pokoleniowej pamięci, a nawet w onomastycznej formie służebnej nazwy miejscowej, co potwierdzają przechowane z pietyzmem kościelne dokumenty dekanatu brasławskiego, w skład którego wieś wchodziła. Współczesne techniki udostępniania zbiorów przychodzą z pomocą nie tylko historykom, ale również wścibskim poszukiwaczom rodzinnych historii. Niemal powszechnie budujemy drzewa genealogiczne, szukamy korzeni, poznajemy rodziną i krajową historię. Chwała zatem Internetowi i zdigitalizowanym zbiorom bibliotecznym. Powszechny dostęp do kultury staje się możliwy, a pojęcie „prowincja” wcale nie musi oznaczać miejsca zamieszkania.

W taki sposób dotarłam - dzięki pomocy ziemiaka Józefa Chodźki - do akt „Wizytacji dekanatu brasławskiego 1782 - 1783 przeprowadzonej na polecenie biskupa wileńskiego Ignacego Jakuba Massalskiego” w opracowaniu Romualdasa Firkovičiusa z Litewskiej Katolickiej Akademii Nauk (Wilno 2008). Oryginał akt wizytacji kanonicznych parafii dekanatu Brasław w formie manuskryptu znajduje się w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Litwy pod sygnaturą f.694, opis 1, nr 2305 - w zbiorze dokumentów biskupów wileńskich z lat 1468 - 1940. Akta wizytacji zapisane zostały pięknym kaligraficznym pismem w języku polskim przez jednego skrybę. Każdy protokół wizytacyjny kończy się podpisem: „Ks. Andrzej Lenartowicz, dziekan brasławski, pleban taurogiński i tauropielski, wizytator generalny”. Tym sposobem znawca historii li tylko z kart powieści Sienkiewicza dowie się, gdzie leżały Taurogi i dopowie sobie, że były pod władztwem, jak zapisano w aktach: „Jo. książe Radziwiłła wojewody wileńskiego”.

Plebańce natomiast oraz wsie Karolina i Raczuny, a także zaścianki Rubieża, Przewozki, Raczunski, Czekalowszczyzna należały do plebanii brasławskiej wraz z folwarkami Muraż i Wisiaty, podobnie jak jeziora Nawiato, Cno, Piermierce, Wojedko,

Conko, Zagnojko i Snuda. We władaniu plebanii była też rybna rzeczka Drujka i Wojetycza. „Na ziemiach wysiewa się do 15 beczek wileńskich, to jest 90 purów jarzynnego zboża alterum tantum. Żyto się najlepiej udaje, jarzyna mizerna bywa”.

Wizytacja z lat 1782 - 1783 odbyła się według nowego porządku, to jest na podstawie formularza z zestawem 27 pytań - nazwanego modeluszem. Ponadto wizytację generalną w większości dekanatów przeprowadzali ich dziekani jako wizytatorzy, a od stopnia uszczegółowienia odpowiedzi zależał całościowy obraz parafii. Gotowość i chęć współpracy plebana z wizytatorem zależała od wielu czynników - stwierdza ks. Tadeusz Kasabuła z Uniwersytetu w Białymstoku w sprawozdaniu zamieszczonym w Roczniku Teologii Katolickiej, (Tom IX Białystok 2010).

Obok kościelnej kreśliła się linia historii świeckiej, barwnej mimo kresowo - prowincjonalnego położenia miasteczka z liczbą tysiąca mieszkańców w połowie XVII wieku. W 1787 roku po raz ostatni odbył się tu sejmik powiatowy z udziałem 360 deputowanych, z których wybrano marszałka powiatowego.

W powstaniu kościuszkowskim zginęło stu brasławian - powstańców, a wójt brasławski Wincenty Aleksandrowicz trafił do niewoli. Rosjanie spalili miasto. Rok później, po III rozbiórce, województwo brasławskie przestało istnieć, miasteczko popadało w ruinę, licząc w połowie XIX wieku tylko 200 mieszkańców.

W 1920 roku Brasław został zdobyty przez wojsko polskie, a w 1922 został stolicą powiatu w województwie wileńskim w granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Zmiany na lepsze zachodziły bardzo szybko, pod koniec lat trzydziestych miasto liczyło blisko 5 tysięcy mieszkańców. Starosta brasławski Żeliszaw Januszkiewicz okazał się sprawnym i rozsądnym gospodarzem. Powstawały spółdzielnie rolniczo - handlowe,



kółka rolnicze, koła gospodyń wiejskich, mleczarnie spółdzielcze, kasy Stefczyka. Miasto kwitło, stanowiąc centrum kulturalne i edukacyjne dla mieszkańców i okolicznych wsi.

Do powszechnej siedmioklasowej szkoły w Brasławiu dzieciaki z Plebańców chodziły pieszo - cztery kilometry, latem i zimą. Do głównej drogi miały jeden kilometr, a tam już był szlak przetarty. Zimą bliżej było na skrót, przez jezioro Cno. Niektóre w zimowy czas pomieszkiwały u rodziny lub znajomych w miasteczku. Przy temperaturze poniżej minus 20 stopni nie puszczano dzieci do szkoły. W czasie zadydymki, ojcowie przyjeżdżali do Brasławia po dzieci saniami. Młodsze uczyły się w budyneczku w miejscu zwanym Wzgórzem Tatarskim w Jackowszczyźnie. Nie ma już małej szkółki ani wzgórza, które zniknęło jako miejsce wydobycia żwiru.

Zauroczył mnie język starych dokumentów, a z ogromnym wzruszeniem odczytałam na starej kartce odręcznie zapisane nazwisko mojego dziadka, którego nigdy nie widziałam. To chyba jedyny ślad istnienia, rodzaj nagrobka, bo fizycznego nie ma. Zarósł gdzieś na wiejskim cmentarzyku w Plebańcach, jak zarastają stare cmentarze w naszych wsiach na Pomorzu, i pewnie nikt go nie odwiedza. Tyle na tych starych kartach znajomych nazwisk, tych z rodzinnych wspomnień, ludzi którzy odeszli w niepamięć.

Wracam jednak do kościelnych dokumentów, jakbym odbywała podróż na Kresy, dawne Kresy. Tyle tu szczegółów zwykłego życia, od opisów domostw, upraw, wzajemnych zależności. W barwie języka, dawno zapomnianych słowach odkrywam miniony świat.

Wieś Plebańce należała do dekanatu brasławskiego, ustanowionego w 1669 roku, (akta biskupa Aleksandra Sapiehy), i parafii brasławskiej z kościołami filialnymi w Opszy, Pohoszcy, Plusach i Belmoncie.

W owym czasie proboszczem brasławskim był ks. Piotr Samson Toczyłowski,



Fot. Archiwum Autora

kantor prałat i „oficjał generalny wileński; wikaryuszów z filijalistami pięciu utrzymuje” - jak zapisano w protokole wizytacji. Wśród wymienionych są: ks. ks.: Józef Kontowtt (lat 34), Wawrzyniec Pobiedziński (lat 35), Wincenty Mikutowicz (lat 29), Dominik Dębski (lat 35), i będący przy dworze w filii belmonckiej Józef Baranowski (lat 30). Wszyscy „czuli w posłudze kościoła i do mówienia kazań zdadni”. Każdy z księży, prócz daniny w formie wozów siana, drewna, zboża, legumin oraz „innej wygody”, brał od 1200 do 200 złp „pensyi rocznej pro victu et amictu”.

W opisanu kościoła wymieniono: „argentyrja” (naczynia ze srebra), aparaty (tu: szaty liturgiczne), bieliznę (alby, komże, korporały, humerały, itp.), księgi, chorągwie, lichtarze, naczynia cynowe i inne elementy oraz „adaucta”: kielich, korony srebrne, tabliczki srebrne, ornat sztofowy w kwiaty ze srebrem...

Parafia brasławska liczyła 62 poddanych, oraz „dysunitów Moskałów do 700 osób” [SJP: (dyzunita «prawosławny, który nie uznał unii Kościoła prawosławnego z rzymskokatolickim, zawartej w Brześciu w 1596 r.»)], Żydów do 300 osób, ze szkołami w Brasławiu i Ospie.

W „Tabeli do plebanii brasławskiej należących poddanych z wyrażeniem ich majątku i powinności” odnajduję najbardziej interesujące mnie ciekawostki. Bojarowie i „ciągłi”: „na młócbę dworną kolejną aż do skończenia wszystkiego zboża swojemi dniami chodzić powinni, tudzież reperować budynki i dachy stare folwarczne, jako też i zboże do młynu na potrzebę dworną i browarną w dniach swoich dowozić są obowiązani. Ciż dawnym zwyczajem po nocne kolejno odbywają.”

W tabeli odnajduję znajome nazwiska: we wsi Plebańce Michał Turok na 1 włóce siedziebnego z czynszem rocznym 24 zł, zobowiązany do opłaty podymnego 6 złp i 2 gr oraz podróżczyzny ryskiej w wysokości 16 złp. Tam też gospodarował Łazarz Turok, na 1 włóce siedziebnego, z czynszem 24-złotowym i

„plemieńcy” po wojnie zamieszkali na słupskiej ziemi

podymnym takim jak sąsiad. Obaj byli „ciągłymi” zobowiązanym do 4 dni pańszczyzny w tygodniu i 12 „gwałtów” rocznie”.

W zaścianku Czekalowszczyzna żył sobie bojar Jakub Turok na jednej włóce i pięciu morgach, a w zaścianku Rubieża Jan Turok na jednej włóce. Bojarowie nie byli zobowiązani do pańszczyzny, odrabiali „gwałty”, płacili czynsz, podymne, podróżczyzną ryską, i jak wszyscy dostarczali do plebanii po 1 gęsi, 1-2 kury, 40 jajców i po jednej talce lnu do przędzenia.

Zupełnie nie wiem co to podróżczyzna ryska. I w tej sprawie konsultuję się z panem Józefem. Razem szukamy wyjaśnienia, które, okazuje się, jest w tekście dokumentu. Otóż poddani zobowiązani byli do wystawienia podwojki do Wilna (podróżczyzna wileńska) lub Rygi. Zamiast fizycznego odbycia podróży, zobowiązanie miało charakter podatku, tak zwanej podróżczyzny ryskiej. Jest w tym świadectwo starych kontaktów z łotewską Rygą, ze względu na przygraniczne położenie. Kontakty gospodarcze i handlowe przetrwały stulecia, skoro pamiętam opowiadania ojca o jego wyprawach handlowych na Łotwę podczas wojny.

Który z przedstawionych ciągłych lub bojarów był pra-pra mego ojca, a zatem i moim? Że byli jakoś spokrewnieni zakładam z góry.

Cztery siedliska Turków (lub Turoków) były tu jeszcze przed 1945 rokiem, kiedy bliźniaczy synowie Kazimierza Turka, mego dziadka, oraz innych dziewięciu chłopców poszło na wojnę. Orientacyjny szkic z tego okresu określający położenie czterech gospodarstw: Sebastiana, Kazimierza, Bonifacego i Antoniego przesłał mi pamiętający ówczesny układ Plebańców krewny z Sopotu.

Nim rozpocznę genealogiczne poszukiwania, zajrzę do współczesnych Plebańców, opisanych przez nieocenionego Józefa Chodźkę:

„Jest rok 1989. Siedzę nad brzegiem przeuroczej rzeczki Drujki, której powolny nurt łączy dwa jeziora: Drywiaty i Cno. Zapatrzyłem się w kołyszące wodorosła i ławice przepływającego narybku. Siedzący obok syn po raz kolejny celuje wędką aż pod drugi brzeg, gdzie wśród szumiącego sitowia od czasu do czasu słychać plusk wyskakujących z wody krasnopiórek. Za moimi plecami pole kukurydzy - jeszcze niewysokiej, koloru soczystej zieleni, migocące odbitymi promieniami południowego słońca. Wśród tej kukurydzy mały kurhan porośnięty krzewami. Z tej odległości, około dwustu metrów, dostrzegłem małe drzewko wiśni, może dziczki, rosnącej samotnie pośród morza falującej zieleni. Ten wzgórek, to miejsce dla mnie magiczne, do którego powracam bez przerwy w myślach, to samotne

opuszczone gniazdo, tętniące kiedyś życiem, śmiechem i modlitwą po polsku. To Plebance - gniazdo Chodźków.

Chodźkowie w Plebańcach zamieszkali później, natomiast z pewnością jest to miejsce, gdzie powinnam szukać własnych korzeni. W czasie wizytacji Dekanatu Brasławskiego w latach 1782 -1783 dokonano spisu inwentarza i ludności. W owym czasie w Plebańcach Chodźków jeszcze nie było. Natomiast w pobliskiej wsi Raczuny mieszkał Jan Chodźko.

Do powinowactwa Turków z Chodźkami musiało dojść w zgodzie z dawną niepisaną zasadą: przygód szukaj w świecie, a żony w powiecie.

W dociekaniu sedna tej prawdy znów nieoceniony okazał się Józef Chodźko, który przez pięć lat rozszyfrowywał rosyjskojęzyczne, w części pisane odręcznym, niezbyt starannym pismem „Księgi egzaminów przedślubnych kościoła NMP Królowej Jezior w Brasławiu”. Tam zapisano: dnia 30 sierpnia 1858 roku w Brasławiu odbył się ślub Adama Chodźki - syna Jana (ur. w 1813 r.) i Agaty Suwikówny - z panną Heleną Turkówną z Plebańców ur. w 1823 r. Do powinowactwa Turków z Chodźkami prowadzi następny wpis w księgach przedślubnych: dnia 24 października 1882 r. w Brasławiu odbył się ślub Izabeli Chodźkówny ur. w 1857 roku w Plebańcach z Antonim Turkiem ur. w 1849 r. też w tej samej wsi - oboje „stanu pracowitego”.

Moje powinowactwo z Józefem Chodźką jest zatem bezsporne, choć określić je można jako „wodę po kielu”.

W dokumentach kościoła NMP Królowej Jezior w Brasławiu odnajduję spisana po polsku „Alfabetyczną listę wiernych 1883 - 1933, gdzie w roku 1883 roku widnieje nazwisko Kazimierza Turka, mego nieznanego dziadka.

Odnajduję nazwiska znajome, „plemieńców”, jak nazywał ich mój ojciec, którzy po wojnie zamieszkali na słupskiej ziemi: Girsza, Ziemięc, Woronecki, Wieliczko, Ragiel.

Mój ojciec nie żyje od dwudziestu lat, odeszli jego rówieśnicy, a my, ich dzieci, się nie znamy, choć w domowych opowieściach wracamy do tego samego miejsca, Plebańców pod Brasławiem.

Czesława Długoszek, Objazda



Fot. Archiwum Autora



Mój i „Jej portret”

Niewykorzystana okazja przeżywania miłości, jest jak ptak wypuszczony z ręki. Na tym polega uroda życia i jego dramat jednocześnie

To zagadkowe, że ludzie swoje lata chcą liczyć wiosnami, choć mijają jesienie i zimy. Jest to efekt podświadomej tęsknoty za bezpowrotnie utraconym dzieciństwem i młodzieńczym dorastaniem. „Tak łatwo porzucić, tak trudno utracić” - powiedziałyby pewnie i w tej sytuacji poetycko ks. J. Twardowski. Harmonizując jakoś swoje oczekiwania i roszczenia mieszczące się w tematyce miłości, powiem tylko, że mam odwagę o tym głośno mówić, nie muszę się też wstydzić klęsk doznanych. Już Stefan Żeromski pisał: „Człowiek, który utożsamiał się z prawdą, musi czuć radość, rozkosz, wtedy nawet, gdy został pobity...” Ktoś inny - również rozumny - też dostrzegł w miłości podobny cel jej istnienia: „poddać się, stać się słabszym, szukać własnego szczęścia w szczęściu kogoś drugiego - to może być wyzwoleniem”. Dla świętego spokoju tylko - dorzucę myśl okrutną: „W miłości kto nie pożera, sam jest pożerany”. Ponieważ przyszedłem do Państwa ze swoim życiem - częściowo w żartach, częściowo poważnie - zamierzam w ten sposób udowodnić odwieczny pogląd, że „ogłędamy miłość miłością, nienawiść zaś smutną nienawiścią”.

Kiedy byłem młodzieńcem, intrygowała mnie „przewrotność” dziewczyny z (odległej w czasie) piosenki „Jak to dziewczyna”, wykonywanej przez J. Połomskiego. Moje chłopięce oczarowania tą enigmatyczną postacią były naturalne (wręcz - biblijne). Napędzały moją wyobraźnię i chęć stworzenia choćby wirtualnej jej obecności przy mnie - w muzyce, malarstwie, rzeźbie czy poezji. Wydawało mi się nawet, że jest w zasięgu moich możliwości.

(„stare pianino w domu miał / i na tym instrumencie grał”). Próbowałem całe życie stworzyć „ją” doskonałą, jakoś urzeczywistnić, tym bardziej, że „mówiła mu, że kocha go, że tylko on, że więcej nikt, la, lala la la - jak to dziewczyna”. Ją - to wyobrażenie piękna i miłości - też zapewniałem, że urodziłem się tylko po to, by choć przez chwilę być przy niej. Do dziś rozważam, czy warto żyć dłużej, czy lepiej? Wolałbym - lepiej! Wystarczyłoby, żeby czuć się spełnionym. Poza tym, nie ważna jest długość życia, ale - ile życia doświadczamy każdego dnia.

Z biegiem lat i codziennych zmaganiach egzystencjalnych - bojaźliwie odpychałem swój wymarzony kiedyś ideał, ten - „Jej portret”. (To prawda, że sprawa raz odłożona - dalej odkłada się już sama.) Byłem także załamany swoim - jak mi się wydawało - brakiem nadziei na jej personalną identyfikację. Dziś już wiem, że ten „życiowy kompleks” musi na zawsze istnieć w każdym mężczyźnie. Kocham nadal swój ideał - „Jej portret” pomimo powikłań losu i świadomości istnienia równoległych światów: marzeń i rzeczywistości. („Uniosę cię, zabiorę wszędzie. Czy będziesz ze mną, czy - nie będziesz. Talizman mój.”) Życie jednak to nie marzenie, i inne nam płata figle. Właściwie, to my z niego drwimy, choć ono traktuje nas poważnie. Jego urok zależy od naszej lojalności wobec marzenia, a to wyjątkowo trudne. Nauczeni, że „lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu” - większość pań i panów kończy swe miłosne projekcje na tzw. stabilizacji („Małżeństwo doskonałe”). Ilustracją tego wyboru jest często pojawiający się jednak dylemat: „Z kim zdradzić własną żonę? - pomyślał mąż wzruszony.

- Czy z żoną przyjaciela, czy z przyjaciółką żony? / W tym samym czasie żona, nad zdradą myśl wytężyła: Czy z mężem przyjaciółki, czy z przyjacielem męża?”. W każdym razie - jak powiedział ktoś myślący - „Każde małżeństwo to niebezpieczny wypadek, ale z czasem się z tego wychodzi”. Dziś, w kontaktach z kobietami nie jestem już bezmyślnie pewny siebie. („Kochać, jak to łatwo powiedzieć.”) Nie ulegam już ich powabowi i wdziękowi. Używając terminologii myśliwskiej - nie poluje na nie i nie szarżuje z impetem dzika, bo „jak sześćdziesiątka mijają, dłuższa torba, niż fuzyja”. Zostałem za to spóźnionym supermenem w innej dziedzinie, w myśl powiedzenia, że pieniądze i rozum przychodzą zawsze za późno. Zapamiętajcie więc w czas właściwy: Uczuć nie należy trwonić!

Chciałbym teraz przedstawić doświadczenia moich klęsk. Podobno miłość jest domem, w którym wiecznie możemy mieszkać. Niezupełnie. Z czasem odkryłem, że naszymi największymi wrogami są domownicy. (O pracownikach nie wspomnę.) Nasza wiara nakazuje jednak kochać swoich wrogów, więc nie byłem chyba dobrym przykładem na chrześcijańską wizję człowieka, bo policzka do bicia nie nadstawiałem wszelkim szubrawcom z piekła rodem. Tylko - żonie. Dostawałem wprawdzie zwyczajowo (wręcz - rytualnie) od swojej ślubnej przysłowiowej „talerz zupy”, ale potrzeby i ambicje miałem większe: „memu ciału wystarczy 36 i 6, mojej duszy - potrzeba czegoś więcej”. Tym muzycznym tekstem (z repertuaru pana Bajora) próbowałem kolejno raz zwrócić uwagę żony na moje duchowo-artystyczne ambicje. Niestety, moje

wygórowane oczekiwania - także kończyły się zwyczajowo (wręcz rytualnie). Bo znów „Noc minęła nadaremnie. Była d..., ale - ze mnie”. Liczyły się tylko dzieci. Nadal jednak uważam, że w obrębie spraw skończonych można się tylko udusić. Przyznać muszę, że „jako mąż i nie - mąż” często okazywałem żonie współczucie, sugerując: „zrób wszystko i się połóż!”. Byłem też dobrym ojcem, na „śpiew i religię” nie skąpiłem grosza. Na „wdowi grosz” jednak niech jeszcze poczeka, (żeby móc przekazać go na multipleksy niektóre.) Ja żyję(!) i... prawdziwie smakuję życie! Sam cukier nie wystarczy! Potrzebna jest i sól, i pieprz, i wanilia. (Z naciskiem na pieprz, bo cały świat jest popieprzony.) Rozwiodłem się. Jestem więc inwalidą, bo bez zony to tak, jak bez ręki. Taki „ni pies, ni wydra”, albo „jednoręki bandyta”. Stałem się też leniwy. Ożywiony i pracowity staję się dopiero wieczorem, a najbardziej w sobotę. „Jej portret” stał się mniej ważny, a kolejne miłości miały wymiar ekologiczny i stanowiły „odnawialne źródło energii”. Za to moja kolejna żona (dokument: karta rowerowa) była zorganizowaną optymistką. Można powiedzieć - typową „biznes-women”. Jej „biznes-plan” nie przewidywał „bessy”, tylko „hossę”. Jednak jej „ewangelia pracy” (dobra nowina) załamała mnie do reszty. Nawet kiedy chorowała, to jeszcze się pytała, czy na drugim świecie chłop(c)ów będzie miała. Umarła - niestety, ale tylko w moich oczach! Odeszła do innego (i to bez dokumentu), ale o słuszniejszych walorach opty(mistysty)cznych. Dokładnie o wymiarach: siedem dioptrii, słusznej emeryturze i - co najważniejsze - refundowanych lekach. Spotkaliśmy się przypadkiem po latach jej biznesowej działalności, kiedy załamana wyznała mi: - „Jednak nie mam talentu do niczego”. Była to jedyna wada, do której się przyznała.

Kolejna żona (kolegi od kieliszka) też nie „podniosła mi temperatury” o jakiej marzyłem. Choć aktualizowałem swoje muzyczne wypowiedzi najnowszymi przebojami. Po jakiejś libacji, próbowałem ją nawet zwilżyć, błagając: „Twoja miłość jak ciepły deszcz” albo „Czy dasz radę kochać, mimo że ja nie umiem ustać. Bez ciebie wstać?” (Na świecie są dwa powody, dla których warto żyć: wino i kobiety.) Ona przekornie odpowiadała starym przebojem (z musicalu „Cabaret”); „Money, money, money...”. Odeszliśmy od siebie w milczeniu, jak - od bankomatu z „debetem”. W sobie tylko gryzłem wiedzę, że my - mężczyźni, także nie spełniamy oczekiwań kobiet. One pewnie też noszą w sercu jakiś „Jego portret”. (A może tylko „Jego portfel”?)

Na szczęście świat jest na tyle sprawiedliwy, że dostępne są i „chwilówki”, i pożyczki. (Taki „Kwiat jednej nocy”.) Jedną z nich nazywałem ładnie - „ojczyzna”. Ta kochała wszystkich chłop(c)ów jednako. Zasługiwała tym na nagrodę Nobla. Za co? Za to samo co Władysław Reymont.

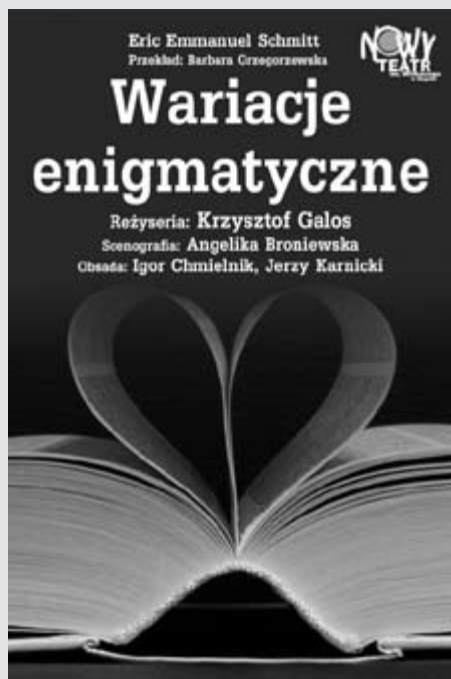
Za „Chłopów”. W końcu - kto chce być mistrzem, nie powinien zaprzestać na jednym doświadczeniu czy jednej próbie. Najbardziej zagadkowa była ta ostatnia. To była miłość „od pierwszego wejrzenia”. Gdy nastąpił poranek - nawet nie byłem rozczarowany. W końcu tyłek to też oblicze człowieka. „Proszę się odwrócić” - powiedziała już z katolicką skromnością, spokojnie wracając do męża i dzieci. Podobała mi się jej świecka religijność. To nobliwe (już rano) zachowanie i jakaś bezgraniczna obojętność dawała mi pewności siebie. Nie musiałem nawet wstydzić się słów wypowiedzianych wcześniej. Wyglądała na porządną, choć słowo „porządna” brzmi dziś w naszym odczuciu jak zniewaga. W niej właśnie dostrzegłem swoją ostatnią szansę - „Przyłądek Dobrej Nadziei”. Trwało to kilkanaście lat. Okazało się, że „Jej portret” malowałem w swych marzeniach zbyt idealistycznie. Malowałem ją, jak chciałem malować, a ona chętnie - „pozo(ro)wała”. Choć miała najuczciwsze oczy w całej wsi - kłamała nawet w łóżku. Faktem jest, że przez ten czas była moim „Przyłądkiem Dobrej Nadziei”. Potem - zniknęła z kimś, nie odbierając nawet telefonów. Do dziś nie wiem, czy nastąpił „zabór mienia” o znamionach przestępstwa, czy „wymuszone zaginięcie” dla okupu. Okup zapłaciłem tragicznie wysoki, jakim jest terminalne rozczarowanie! (To kara za oczarowanie.) Dziwny ten świat, bo stwarzanie szczęścia jednemu, odbywa się poprzez rujnowanie drugiemu. Tak ludzkie osiągnięcie miłości w dodatku nazywa się „szlachetnym”. Moja „szlachetność” polega na tym, że nadal z sobą bywamy w dobrych stosunkach. Tamten jest - „nie-dziela”, ja - „dniem powszednim”. Ja muszę brać prostamol, tamten - insulinę. Ja gram jej „Wszystkie barwy lipca znajdziesz w Kołobrzegu” - nawet w lutym (wtedy ją poderwał „na emeryturę”), a on jej śpiewa: „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka”. Prowadząc „siedząco - śpiący” tryb życia, zorganizował sobie najtańsze pobyty na Kaszubach. I obsługę. Tą taktyką (szubrawca) i jej zgodą odstawił mnie, jak kota od mleka. No, chyba że nie mleko to było, ale pomyje. Ma do niego nadal wielki pociąg, choć on jest zaledwie częścią tego pociągu, bo „hamulcem” tylko. Ten jej „pociąg” zrujnował jednak moją wiarę w miłość romantyczną, bo wygrała sanatoryjna. (Już w założeniu obrzydliwa, nie mówiąc o skutkach etycznych.) Zgodnie jednak jej sugerujemy „Memento Finis”, (pamiętaj o końcu), bo na emeryturę trzeba sobie zapracować. Nie „główkować” na poczet iluzoryjnej korzyści za opiekę. Przyznaję, że to jeszcze „zaradna”, i „poządna” kobieta.

A teraz najpoważniej i bez żartów! Można powiedzieć - „szlachetna paczka” moich przemyśleń. Jeżeli człowiek wie, że ma rację - łatwiej mu żyć, kochać

i wybaczać. Słowem - zrozumieć. Usiłowałem wcześniej rozbawić Czytelniczkę „archiwizując” nasze słabostki w relacjach damsko - męskich. Nie ma miłości złej czy trudnej. Są tylko słabe charaktery. Wszystko już było - ktoś powie - o miłości też. Nieprawda. To jednostkowe uczucie każdego z nas, w którym nie należy dopatrywać się logiki. To konieczność egzystencjalna i wolny wybór jednocześnie. To wojna i pokój. To piekło i niebo. To szczęście i nieszczęście. To życie i śmierć. To miłość i przekleństwo. Jednocześnie! Faktem jest, że każda miłość nosi w sobie znamiona samozagłady, aż do unicestwienia. Ale czy każda sfera naszego życia nie ma podobnych konsekwencji? Mimo to jest nieuchronna. Spośród miliardów prób zdefiniowania kobiety, najbliższy prawdzie (moim zdaniem) okazał się nasz cudowny B. Leśmian, który - widząc w miłości i kobiecie jakieś „niespełnienie” duchowe - tak o niej napisał: „Zabóstwiło się cudacznie pod blekotem na uboczu, A to jakaś mgła dziewczęca chciała dostać warg i oczu, I czuć było, jak boleśnie chce się stworzyć, chce się wcielić, Raz warkoczem się załoczyć, raz piersiami się zabieścić, I czuć było, jak się zmagą zdyszanego męką łona, Aż na wieki sił jej zbrakło - i spoczęła niezjawiona!” Nie znam piękniejszej i tak poetyckiej definicji dziewczyny, w której słowo „zabóstwiło” mówi wszystko! To prawdziwy portret każdej kobiety - „Jej portret”, bez którego życie każdego z nas nie miałoby sensu. Dążenie więc do ideału, to wznosić się jak Ikar. Dla Niej. I nieważne czy z wzajemnością. Kiedyś chciałem pokazać kobietom co jest białe, a co czarne. W konsekwencji zobaczyłem swoją własną czerwień. Z miłości umarłem przed zgonem - można by uczciwie powiedzieć. Nie ja jeden! Nie ja jeden też - tak rozumianą miłością - pragnę okazać zachwyt, podziw, szacunek i wdzięczność kobietom. Dzięki nim widziałem wszystkie kolory świata i wszystkie kolory tęczy. No cóż, a że każda miłość wiąże się z ofiarą - to już inny temat. Ja jestem ofiarą szczęśliwą, bo spełnioną. Choć niezupełnie, bo mam jeszcze jedną prośbę: - „Daj mi to miejsce przy sobie/ Kiedy wstajesz o świecie / Ja sobie z tego zrobię / Długie, ciekawe życie”. Niewykorzystana okazja przeżywania miłości jest jak ptak wypuszczony z ręki. Na tym polega uroda życia i jego dramat jednocześnie. Z zaświatów nawet oświadczyć wszystkim dumnie: „Umarłem, bo kochałem”. Ja nie kochałem wielu kobiet. Ja kochałem tę samą miłość - „Jej portret”. Siebie tylko zapytam jeszcze niepewnie i szeptem: żyłem czy śniłem? Najkrótsza przecież droga do kobiety prowadzi przez gwiazdy. Może nawet westchnę - choć już bez żalu - dlaczego ostatnia miłość kobiety nie mogła być pierwszą miłością mężczyzny?

Klemens Rudowski, Słupsk

Mitosne wariacje



„Wariacje enigmatyczne” Erika Emanuela Schmidta to ostatnia premiera Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku w 2013 roku. Błyskotliwa, przewrotna i czasem pokrętna dialogowo sztuka

Przedstawienie wyreżyserował Krzysztof Galos. Słupskiemu widzowi reżyser ten jest znany ze spektaklu „Scenariusz dla trzech aktorek” oraz dramatu „Garderobiany”. Obsadę „Wariacji enigmatycznych” stanowią dwaj aktorzy różni wiekiem, o różnych temperamentach i doświadczeniach zawodowych. To Igor Chmielnik grający postać Erica Larsena i Jerzy Karnicki, który wcielił się w postać Abela Znorko.

Grane przez nich przedstawienie to syntetycznie opisana przez tytułową postać - Abela Znorko - historia miłości. Bohaterem sztuki jest pisarz noblista, zagubiony na samotnej wyspie pod kołem podbiegunowym, który wydał nową książkę. Stanowi ona pretekst do przyjazdu na wyspę Erika Larsena, podającego się za dziennikarza jednej z prowincjonalnych gazet. Zasadniczym powodem jego przyjazdu jest chęć wyjaśnienia, dlaczego ostatecznie dzieło pisarza, znanego dotąd z rozpraw filozoficznych jest tak odmienne, osobiste i namiętne? Pisarz w swym dziele opisał związek z kobietą i to stanowi kanwę toczącej się, pełnej emocji rozmowy mężczyzny.

Siłą tego spektaklu jest dobrze dobrany duet, który potrafi sprostać dialogowym starciom osobowości i światopoglądów. Dialogi są misternie skomponowane z szeregu zaskakujących puent, nagłych zwrotów akcji, napięć. Akcja toczy się wartko. Sztukę ogląda się z zainteresowaniem, wyraziste jest jej przesłanie: uwaga na życie, bo nie wiadomo, jakie zgotuje nam jeszcze wariacje. Gra aktorów to swoisty majstersztyk.

Przy okazji warto przybliżyć oba aktorskie nazwiska. Jerzy Karnicki to aktor dramatyczny, o wszechstronnych możliwościach. Swoją przygodę artystyczną rozpoczęła w Klubie „Pod Rybką” w Słupsku i od tamtej pory jest związany z teatrem. W 1972 roku nawiązał współpracę z Antonim Franczakiem w Teatrze Rondo, by później zdobyć nagrodę na festiwalu OSTJA za spektakl „Satyr albo Dzikie małżeństwo” wg poematu J. Kochanowskiego i otrzymać zaproszenie na Festiwal Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu. W Teatrze Rondo brał udział w wielu spektaklach, m.in. „Tu kolumbowe miało stanowisko...”

- według Norwida, „Rzecz o wolności albo przebrana cnota” - według Jewtuszenki, „Paroksyzm powrotu” - według Chorążuka, w widowiskach plenerowych: „Kalendarz Polski”, „Sztandary i znaki”, „Don Kichot polski”. Reżyserował spektakle, które otrzymywały wysokie oceny na międzynarodowych festiwalach w Portugalii (dziewięć razy), Francji, Włoszech, Czechach i Danii. Mogli je obejrzeć także widzowie z Węgier, Rosji, Ukrainy. Prowadził warsztaty teatralne w kraju i za granicą (Portugalia, Włochy, Dania). Reżyserował również duże widowiska plenerowe. W 1981 roku uzyskał dyplom aktora dramatycznego i związał się z Teatrem Dramatycznym w Słupsku.

Igor Chmielnik to aktor młodszego pokolenia, swoją grą i wszechstronnymi zdolnościami zdobył już uznanie i ma starych wielbicieli swego niepowtarzalnego aktorstwa. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi i synem znanego aktora Jacka Chmielnika, który zmarł niedawno tragicznie. Występował w spektaklach: „The Sound of Music” w reż. Zbigniewa Kułagowskiego (2013), „Czarna komedia” w reż. Andrzeja Chiłkowskiego (2013), „Brzechwolandia” i „Konopielka” w reż. Jerzego Karnickiego (2012), „Jan Maciej Karol Wścieklica w reż. Jacka Bunscha (2012), „Garderobiany” w reż. Krzysztofa Galosa (2012), „O dwóch krasnoludkach i jednym końcu świata” w reż. Krzysztofa Babickiego (2012), „Przed sklepem jubilerki” i „Cabaret” w reż. Andrzeja Marii Marczewskiego (2011), „Mayday” w reż. Edwarda Żentary (2011), „Okno na parlament” w reż. Irenusza Kaskiewiczza (2005), „Skrzypek na dachu” w reż. Zbigniewa Maciasa (2005). W słupskim teatrze zyskuje sobie sympatię i uznanie szczególnie młodszej widowni.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk





Zwycięstwo i klęska hrabiego von Spee

W czasie wstępnej fazy I wojny światowej obie walczące strony raczej ostrożnie działały na wodach Morza Północnego, za to między sierpniem a grudniem 1914 roku prowadziły liczne operacje na innych wodach. W odróżnieniu od drugiej - pierwsza wojna światowa była od samego początku konfliktem globalnym: siły brytyjskie, francuskie, rosyjskie i japońskie ścigały niemieckie krążowniki po bezmiarach Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego. Niemcy chcieli nie dopuścić do przetransportowania przez Aliantów na pola bitewne Francji oddziałów kolonialnych ze Wschodu i z obszaru Pacyfiku. Największe zagrożenie stanowił zespół niemieckich krążowników wiceadmirała hrabiego von Spee (złożony z dwóch pancernych i trzech lekkich krążowników i znany, jako tzw. Ostasiengeschwader, czyli Eskadra Wschodnioazjatycka), bazujący w dzierzawionym od Chin porcie Tsingtau, który opuścił swą bazę przed wybuchem wojny. Odesławszy lekki krążownik Emden do nadzwyczaj owocnych, samotnych działań korsarskich na Oceanie Indyjskim, wiceadm. hrabia von Spee obrał kurs na południowy wschód, wszere Pacyfiku. Alianci, pragnąc za wszelką cenę zlokalizować i unieszkodliwić niemiecką eskadrę, wystali przeciw niej szereg starych jednostek liniowych z wód ojczystych oraz nowy krążownik liniowy Australia, który rozpoczął był swą służbę, jako flagowy okręt australijskiej

marynarki wojennej. Wiceadmirał hrabia von Spee zdołał jednak nie tylko ująć z zastawianych nań sidła, lecz pod Coronelem (u wybrzeży chilijskich) rozgromił ze swymi krążownikami (wzmocnionymi w międzyczasie przez przybycie lekkiego Dresdena) zespół brytyjskiego kontradmirała C. Cradocka, złożony ze starych krążowników pancernych. Ta pierwsza od ponad stu lat klęska, poniesiona przez Royal Navy, wywołała istny szok w admiralicji, gdzie przypuszczano, że poległy kontradmirał miał w swym zespole predrednot Canopus. Tymczasem Cradock ruszył do swej ostatniej akcji bez pancernika, bowiem poinformowano go błędnie, iż ten stary okręt może rozwijać prędkość najwyżej 12 węzłów, więc kontradmirał zrezygnował z tak wątpliwego „wzmocnienia” swych sił.

Reakcja admiralicji była błyskawiczna: przeciw eskadrze hrabiego von Spee detaszowano z Grand Fleet krążowniki liniowe Invincible i Inflexible, które ruszyły na południe, by rozprawić się z Niemcami. Polecono też unieruchomić w Port Stanley na Falklandach pancernik Canopus, by w razie ataku wspomógł obrońców swą artylerią. Spodziewano się uderzenia zespołu wiceadmirała von Spee po tym, jak zamknięto mu drogę powrotną na Pacyfik. Wspomniane dwa krążowniki liniowe, dowodzone przez wiceadmirała Sir F. C. Dovetona Sturdee, przybyły do Port Stanley siódmego grudnia rano. Następnego dnia

O ile Falklandy zapisały się w najnowszej historii powszechnej niemądrą bijatyką o nic sprzed trzydziestu lat, o tyle nazwa Coronel jest dziś zupełnie egzotyczna. Tymczasem niedaleko tego chilijskiego portu doszło pod koniec 1914 roku do zażartej bitwy, w której niezwykła od lat Royal Navy niespodziewanie doznała bolesnej porażki

na okrętach brytyjskich wciąż jeszcze uzupełniano zapasy węgla po długiej podróży, gdy o godzinie 7.50 czasu miejscowego nadszedł z posterunku obserwacyjnego na Sapper Hill meldunek o dostrzeżeniu okrętów eskadry hrabiego von Spee. Na szczęście dla Brytyjczyków siły niemieckie były nieco rozproszone, w przeciwnym razie Niemcy mogliby zająć pozycję przed wyjściem z portu i do woli zasypać pociskami każdy wychodzący stamtąd okręt brytyjski. Hrabia von Spee nie spodziewał się też obecności w porcie brytyjskich krążowników liniowych, sądząc, iż najbliższe z nich znajdują się na Morzu Śródziemnym. Tymczasem fakt wypłynięcia wspomnianych okrętów przeciwko eskadrze hrabiego skryto zrazu przed oczami wszędobylskich szpiegów Cesarza Wilhelma m. in. z pomocą tzw. mamideł, tj. starych, odpowiednio ucharakteryzowanych na dwa Wielkie Koty statków handlowych. W rolę HMS Invin-

załadowała w nocy swoje działa ćwiczebnymi pociskami. Rano rozpętała się prawdziwa bitwa i nie było czasu na powtórne przeładowywanie dział. Rezultat był nader interesujący: Gneisenau znajdował się dobrze poza maksymalnym zasięgiem naszych dział; podczas, gdy ostry pocisk z naszej (dziobowej) wieży eksplodował po uderzeniu w wodę, jeden z pocisków z dział rufowej wieży odbił się rykoszetem, a drugi trafił w cel."

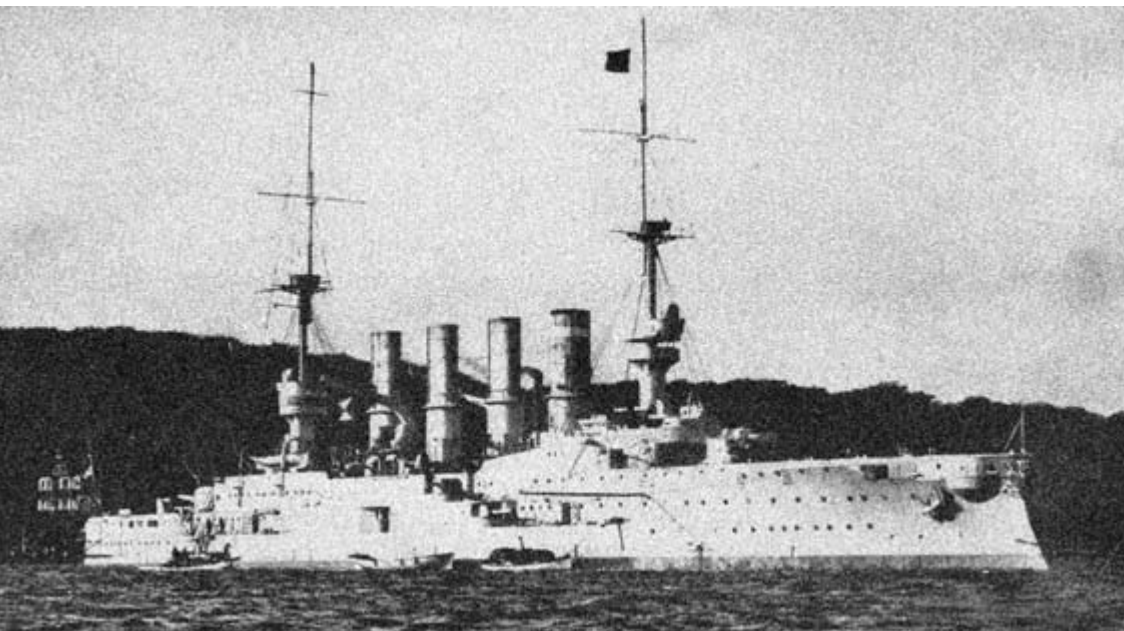
Incydent ten, ukazujący rywalizację artylerzystów ery przeddrednotów, zmusił też hrabiego von Spee do porzucenia planu ataku na port i ujścia przed wrogimi siłami, przed którymi zespół jego miał jeszcze wszelkie szanse uciec. Dopiero o 11.00 wiceadmiral poznał prawdę: ścigały go dwa krążowniki liniowe, które mając pięciowęzłową przewagę prędkości - mogły dopaść jego okrętów już wczesnym popołudniem. Invincible i Inflexible

krążowników pancernych, słynących ze znakomitych artylerzystów, i to bez strat własnych tak, aby jego okręty mogły natychmiast powrócić do służby w składzie Grand Fleet. Znaczyło to, że Brytyjczycy nie mogli pozwolić sobie na przyjmowanie żadnych trafień pociskami z dział okrętów niemieckich, z których każdy miał osiem dział 8,2- i sześć 5,9-calowych. A jednak flagowiec brytyjski, HMS Invincible, przyjął aż 22 trafienia, co wystawia doskonałe świadectwo artylerzystom krążowników pancernych eskadry wiceadmirała hrabiego von Spee, któremu udało się skutecznie zmniejszyć dystans walki z potężnymi przeciwnikami.

Wszystkie atuty mieli w swych rękach Brytyjczycy. Nie zamierzali oni pozwalać swym przeciwnikom na zbyt wiele, manewrując w celu utrzymania dogodnego dystansu walki i niwecząc w ten sposób wszelkie próby jego zmniejszenia, czynione przez siły wiceadmirała von Spee. Załogi okrętów niemieckich walczyły bohatersko do końca, co przedłużało nierówną bitwę. SMS Scharnhorst przewrócił się do góry stępką i zatonął o 16.17, zaś Gneisenau trzymał się aż do 18.00, po czym został zatopiony na rozkaz dowódcy przez własną załogę. Z Scharnhorsta nie uratował się nikt, z załogi Gneisenau, liczącej 850 ludzi, uratowano 190 rozbitków. Zginął wiceadmiral hrabia von Spee i dowódca Gneisenau, kmdr Maerker. Brytyjskiego zwycięstwa dopełniło zatopienie lekkiego krążownika: Nürnberg (przez HMS Kent o 19.27) oraz Leipzig (przez HMSS Cornwall i Glasgow o 20.35). Z pogromu uszedł jedynie SMS Dresden, by najpierw dać się internować w Chile, a potem (po trzech miesiącach, tj. 14 marca 1915 roku) zostać zatopionym przez własną załogę po walce z HMSS Kent i Glasgow.

Zwycięstwo wiceadmirała Sturdee odbiło się szerokim echem, stanowiąc rewanz za niedawną klęskę, lecz z drugiej strony wiceadmiral miał szczęście, że nie napotkał na swej drodze większych okrętów niemieckich. Artylerzyści niemieccy strzelali przez cały czas akcji wspaniale, tymczasem brytyjczyści zużyli po około 600 sztuk dwunastocalowych pocisków na każdy okręt; nie wróżyło to niczego dobrego w przypadku, gdyby doszło do upragnionej generalnej bitwy z Hochseeflotte. Admiralicja brytyjska podnosiła oczywiście przeróżne problemy, z którymi artylerzyści zespołu wiceadmirała Sturdee musieli borykać się podczas bitwy falklandzkiej (dym prochowy, wielki dystans boju i gwałtowne manewry okrętów), lecz nie usprawiedliwiało to bynajmniej słabego wyszkolenia artylerzystów na okrętach brytyjskich.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk



Fot. Archiwum Autora

cible wcielił się parowiec Patrician, a w rolę Inflexible - parowiec Manipur. Na dobitkę upłynęła cała godzina, nim obserwatorzy na okrętach niemieckich dostrzegli w Port Stanley charakterystyczne dla drednotów, trójnożne maszty. W ten sposób Brytyjczycy mogli bez przeszkód przerwać uzupełnianie paliwa, podnieść parę w kotłach i wyjść w morze.

Bitwa Falklandzka rozpoczęła się o 9.20, gdy krążownik pancerny Gneisenau i krążownik lekki Nürnberg wciąż prowadziły rozpoznanie sił w Port Stanley. Okręt liniowy Canopus otworzył z odległości około jedenastu tysięcy metrów ogień ze swych 12-calowych dział, rozmieszczonych w dwóch wieżach. Tego ranka na pancerniku miały odbyć się zaplanowane wcześniej ćwiczenia artyleryjskie. Członek obsady jednej z wież artylerii głównej okrętu tak wspomina te wydarzenia:

„Załoga rufowej wieży, aby pokonać odwiecznych rywali z dziobu, potajemnie

otworzyły ogień o 12.50 z odległości aż 15 kilometrów. Wiceadmiral von Spee podążał w tym czasie kursem, przy którym każdy z okrętów brytyjskich mógł strzelać do Niemców z dział tylko dwóch wież; zajmował też korzystniejszą pozycję względem wiatru - nie nawietrzną, jak w epoce żagla, lecz podwietrzną, co powodowało, że dalmierzyści i celownicowcy brytyjczyści (żaden z krążowników liniowych nie miał urządzeń do kierowania ogniem całej artylerii), walcząc z dymem z kominów i dział własnych jednostek, nie mogli celować zbyt dokładnie. Gdy okręty brytyjskie zaczęły powoli wstrzeliwać się w cele, von Spee rozkazał swoim lekkim krążownikom (Leipzig, Nürnberg i Dresden), by odłączyły się od zespołu i próbowały ucieczki na własną rękę, sam zaś, prowadząc flagowego Scharnhorsta i bliźniaczego Gneisenau, ruszył w bój z Brytyjczykami.

Zadaniem wiceadmirała Sturdee było możliwie szybkie zniszczenie niemieckich

SŁUPSKI KOLEKCJONER



DODATEK SPECJALNY DO „POWIATU SŁUPSKIEGO” NR 1(12)/2014

Monety okresu międzywojennego

Mennictwo okresu międzywojennego to szczególny okres dla numizmatyki wieku dwudziestego. Powstały wtedy monety o niezwykłych walorach numizmatycznych.

Kilka z tych monet obecnie zaliczanych jest do rarytasów wśród kolekcjonerów. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku państwo polskie musiało stawić czoła wielu przeciwnościom zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym. Uległ zmianie także system pieniężny i w 1920 roku za obowiązującą walutę została przyjęta marka polska.

Waluta ta była poddawana silnym naciskom, na przykład w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Na początku lat dwudziestych uległa silnej inflacji (ceny wielu artykułów podawane były w milionach). W roku 1924 wprowadzono reformę, znosząc markę i ustanawiając złotego polskiego (reforma Władysława Grabskiego). Od tego czasu po raz pierwszy w historii II RP pojawiają się w obiegu pieniężnym monety polskie, które nie są związane z systemem monetarnym żadnego z państw zaborczych. Zapadła decyzja o wybitiu nominałów od 1 grosza do 100 złotych. Monety najdrobniejsze - 1, 2, 5-groszowe miały być produkowane z brązu, 10, 20 i 50-groszowe z niklu, 1, 2 oraz 5-złotowe ze srebra, a 10, 20, 50 i 100-złotowe ze złota.

Oczywiście, szkoda dla dzisiejszej numizmatyki, że nie udało się tych planów

wprowadzić w całości w życie. Z uwagi na to, że mennica polska została dopiero otwarta i nie mogła zapewnić odpowiedniego poziomu produkcji, zdecydowano, by zlecić wybitcie monet mennicom obcym (w Austrii, Holandii, Szwajcarii. Mennica w Warszawie wybiła tylko 2 i 5-groszówki). Ponadto część monet została wprowadzona do obiegu z kilkuletnim opóźnieniem lub w ogóle zaniechano ich emisji (np. złotych monet o nominałach 50 i 100-złotych). Może nie wszystkie monety polskie z lat dwudziestych ub. wieku należą do najpiękniejszych graficznie, ale są wśród nich wyjątkowo piękne - 1 i 2-żółtowa („Żniwiarka”) oraz 5-złotowa („Nike”). Te pierwsze były produkowane nawet w Stanach Zjednoczonych i dzisiaj niektóre ich odmiany stanowią obiekt pożądania wielu kolekcjonerów. Moneta z wizerunkiem Nike - bogini zwycięstwa, wybijana niemal bez przerwy w latach 1928 - 1932 stanowi w ładnym stanie zachowania najrzadszą (i zarazem najdroższą) monetę obiegową II RP.

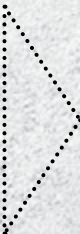
W 1925 roku wyemitowano jedyne monety złote okresu międzywojennego - 10 i 20-złotowe z wizerunkiem Bolesława Chrobrego. Ostatecznie nie wprowadzono ich do obiegu, ale można je było zamówić prywatnie w mennicy, przekazując równoważną ilość złomu złota i ponosząc koszty wybitia.

Początek lat trzydziestych to czasy wielkiego kryzysu. W mennictwie polskim dekada ta rozpoczyna się emisją srebrnej monety pięciozłotowej z okazji 100. rocznicy wybuchu powstania listopadowego (nie licząc wybitia monet 1, 2 i 5-groszowych). W 1932 roku wydano dekret prezydenta I. Mościckiego, który wprowadził nową ordynację menniczną. Główna zmiana wiąże się z wprowadzeniem srebrnej monety o nominale 10 złotych. Znaczna część emisji monet srebrnych z lat wcześniejszych zostaje wycofana z obiegu i przetopiona. Nowa moneta 10-złotowa prezentuje na rewersie głowę kobiety w renesansowym nakryciu i jest wybijana corocznie w latach 1932 - 1934. Powstają też identyczne, aczkolwiek odpowiednio mniejsze monety o nominałach 2 i 5-złotych. W

1934 roku, aż do początku wojny, wizerunek ten zostaje zastąpiony głową marszałka J. Piłsudskiego z profilu.

W roku 1933 wyemitowano dwie przepiękne, srebrne monety z wizerunkami króla Jana III Sobieskiego oraz Romualda Traugutta. W stanach mennicznych należą one do rarytasów kolekcjonerskich. W roku 1936 emitowano monety 2 i 5-złotowe, które przedstawiały żaglowiec na rewersie. Emisja ta miała symbolizować nierozzerwalność Rzeczypospolitej z morzem. Po zajęciu kraju przez Niemców, na bieżące potrzeby w dalszym ciągu wybijano monety z czasów sprzed 1939 roku, jednak już bez nominałów powstałych w srebrze.

Poruszając temat monet okresu międzywojennego nie można zapominać także o fałszerstwach na szkodę kolekcjonerów. Do fałszowanych monet należą 2 złote z Piłsudskim z 1936 roku. Najczęściej spotykanym sposobem fałszowania było przerabianie daty w roczniku 1934. Jeśli mamy do czynienia z takim fałszerstwem to można je zidentyfikować stosunkowo łatwo i wcale nie trzeba się przysłuchiwać uważnie dacie. Pozornie takie samo 2 złote z 1934 roku ma jednak inny typ ząbków na rancie niż to z rocznika 1936. Dwa złote z 1934 roku mają rant, którego ząbki powstały jakby w wyniku wytłoczenia, a gdy patrzymy na ząbki 2 złotych z 1936 roku, odnosi się wrażenie



jakby to były szczelki równo ułożone na powierzchni rantu. Istotą tej różnicy można łatwo zaobserwować nie mając nawet 2 złotych z 1936 roku. Wystarczy porównać rant 2 złotych z 1934 roku i 2 złotych z żaglowcem z 1936 roku, które ma ząbki tego

samego rodzaju, jak 2 złote z Piłsudskim z 1936 roku.

Monety II RP to bardzo interesujący fragment dziejów polskiego mennictwa pierwszej połowy wieku dwudziestego, który nie często jest opisywany. Dlatego

też pozwoliłem sobie na chociaż częściowe przypomnienie zainteresowanym czytelnikom i kolekcjonerom tego tematu z dziedziny numizmatyki.

*Sławomir Włoch
Słupsk*

Nasze polskie banknoty

Polska waluta przetrwała 500 lat historii polskiego złotego. Już od XIV aż po XIX wiek była środkiem płatniczym naszych przodków. Pomijając krótką przerwę między 1916 i 1924 rokiem, mimo hiperinflacji po I wojnie światowej i inflacji w latach 80-tych, złoty polski był mocną walutą. Wraz z przystąpieniem Polski w 2004 roku do Unii Europejskiej potwierdził jeszcze swoją stabilność.

Zgodnie z definicją banknot to papierowy pieniądź kredytowy wydawany przez bank emisyjny, środek płatniczy zastępujący pieniądź kruszcowy. Trzymając się tej definicji, kolejnymi polskimi emisjami banknotowymi były datowane na 28 lutego 1919 roku banknoty Banku Polskiego wypuszczone po reformie monetarnej Władysława Grabskiego, ustanawiające walutę złotową w 1924 roku o nominałach: 1, 2, 5, 10, 20, 50, 100, 500 złotych. Odtąd banknoty drukowane są nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.

W pierwszych latach powojennych utrzymywała się dość wysoka inflacja, a system pieniężny polegał na tym, że w obiegu były wyłącznie banknoty bez bilonu. W październiku 1950 roku przeprowadzono wymianę pieniądza. Wprowadzono do obiegu banknoty ozdobione wizerunkami „ludzi pracy”. Pojawił się też bilon. Banknoty nosiły datę 1948 roku. Utrzymywały się w obiegu do połowy lat siedemdziesiątych, kiedy to stopniowo wymieniano je na banknoty nowego wzoru, ozdobione wizerunkami wybitnych postaci z historii Polski.

Trwająca w latach osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych inflacja powodowała wprowadzenie do obiegu coraz to wyższych nominałów, aż do banknotu o nominale 2 milionów złotych - z 1992 roku. Stabilizacja gospodarcza, będąca rezultatem planu Balcerowicza z 1989 roku stworzyła podstawy do denominacji w 1995 roku. Wówczas do obiegu wprowadzono banknoty z serii „królewskiej”, którymi posługujemy się do dziś.

Na banknocie z nominałem 10 złotych umieszczony został wizerunek Mieszka I. Urodzony około 930 roku, prawdopodobnie w Gnieźnie, syn Siemysława był pierwszym historycznym władcą Polski, twórca państwa między Odrą i Wisłą. W 966 roku przyjął wiarę chrześcijańską od Czechów, poślubiwszy wcześniej Dobrawę - córkę czeskiego księcia Bolesława I. Toczył wojny z

cesarzem niemieckim, zakończone małżeństwem (po śmierci Dobrawy) z Odą - córką margrabiego Teodoryka. Zmarł w 992 roku.



Wizerunek Bolesława Chrobrego, urodzonego w 967 roku, syna Mieszka I i Dobrawy umieszczony został na banknocie 20-złotowym. Władca ten objął rządy w 992 roku i był pierwszym, koronowanym w 1025 roku, królem Polski. Próba opanowania przez niego Czech w 1003 roku wywołała 13-letni konflikt z Niemcami, zakończony dopiero w 1018 roku pokojem w Budziszynie, pozostawiającym Polsce zdobyte ziemie zaodrzańskie. Zmarł w 1025 roku, pochowany jest w podziemiach katedry poznańskiej. Trzydziestotrzyletnie jego panowanie postawiło Polskę w rzędzie najpotężniejszych mocarstw europejskich.

Wizerunek Kazimierza III Wielkiego zdobi banknot 50-złotowy. Urodzony w 1310 roku syn Władysława Łokietka koronował się w 1310 roku w Krakowie. Doprowadził do wzrostu znaczenia politycznego Polski na arenie międzynarodowej. Podwoił terytorium państwa, rezygnując z odzyskania Śląska i Pomorza. Zmarł bezpotomnie w 1370 roku, jego szczątki spoczywają na Wawelu.

Kolejny z władców Władysław II Jagiełło zdobi banknot 100-złotowy. Urodzony pomiędzy 1348 a 1351 rokiem był synem księcia litewskiego Olgierda. W 1385 roku przyjął wraz z Litwą chrzest i przyłączył ziemię litewską do Polski oraz jako mąż Jadwigi został w 1386 roku królem Polski. W 1410 roku w bitwie pod Grunwaldem zadał decydujący cios zakonowi krzyżackiemu. Pozostawił po sobie państwo, które stało się potęgą ówczesnej Europy. Zmarł w 1434 roku i jest pochowany też w katedrze wawelskiej.

Zygmunt I Stary, urodzony w 1467 roku jako piąty syn Kazimierza Jagiellończyka zdobi banknot 200-złotowy. W 1506 roku został obrany wielkim księciem litewskim i wkrótce królem Polski. Prowadził rozważną politykę. W 1525 roku przyjął hołd władcy pruskiego Olbrachta i przyłączył do Polski Mazowsze. W ostatnich latach uległ wpływom swej drugiej żony Bony Sforza. Na jego czasy przypada początek złotego wieku kultury polskiej. Zmarł w 1548 roku, spoczywa na Wawelu.

Jerzy Henke, Słupsk

Dwadzieścia lat współpracy

Szczególnie dzisiaj jest ważne, by o historii mówić w sposób niestandardowy i zachęcać młodzież do jej poznania.

W 1992 roku Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej wystąpił z inicjatywą nadawania imion szkołom związanym z Armią Krajową. Apel ten spotkał się z zainteresowaniem grona pedagogicznego Szkoły Podstawowej we Wrześcu.



Założycielem naszej szkoły był w grudniu 1945 roku, przybyły na ziemię odzyskaną, jak wielu wówczas, Stanisław Bednarski „Drzazga” - oficer Armii Krajowej. Spośród wielu wybitnych postaci, które były „do wzięcia” wybór padł na jednego z najwybitniejszych dowódców Państwa Podziemnego, pierwszego dowódcę Armii Krajowej - generała Stefana Roweckiego - „Grotę”. Z uwagi na postać patrona wiadomym się stało, że historia drugiej wojny światowej, Państwa Podziemnego i pojęcie patriotyzmu w najszlachetniejszym wydaniu będzie odciążeniem drogowskazem w wychowaniu młodego pokolenia.

Wtedy jednak (dwadzieścia lat temu) ważnym się stało znalezienie odpowiedniej formy przybliżenia dzieciom i młodzieży prawdziwej historii gen. Stefana Roweckiego - „Grotę”. Ówczesna oświata dopiero zaczynała proces odkrywania „białych plam” w najnowszej historii Polski.

Zupełny przypadek sprawił, że miałem przyjemność spotkać się w owym czasie z kilkoma osobami ze środowiska zbieraczy - kolekcjonerów skupionych w Oddziale Słupskim Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego. Przyznam, że do tego spotkania moja wiedza na temat numizmatyki, a szczególnie numizmatyków, była niewielka. Chyba z tej niewiedzy pochodziło przeświadczenie, że numizmatyk to ktoś, kto nie chętnie dzieli się swoją wiedzą i zbiorami z innymi zbieraczami, wręcz przeciwnie - zazdrośnie strzeże swoich skarbów.

Jakież było moje zaskoczenie, kiedy na nieśmiałą propozycję współpracy spotkałem się z reakcją przekraczającą po wielokroć moje oczekiwania. Tak poznałem

wspaniałych ludzi i ich przebogate zbiory. Prawdziwym inicjatorem współpracy stał się honorowy dziś, a wówczas prezes oddziału Zdzisław Michał Dróbka. Przez dwadzieścia lat ten zasłużony dla numizmatyki honorowy członek Zarządu Głównego PTN wielokrotnie opracowywał i przedstawiał zbiory numizmatyczne i kolekcjonerskie podczas wystaw urzędzanych w naszej szkole we Wrześcu i w innych szkołach gminy Słupsk. Oglądający mieli okazję podziwiać między innymi tzw. walory katyńskie, a wśród nich pamiątki rodzinne, medalierstwo, odznaczenia, wyróżniki i przebogata do-

kumentację. Pan Dróbka prezentował także medalierstwo ziemi słupskiej i wojskowe, ordery i odznaczenia, mundury. Ostatnio dużym zainteresowaniem cieszą się jego wystawy związane z udziałem Polaków w misjach pokojowych. To oczywiście tylko niektóre z wielu ekspozycji prezentowanych co najmniej dwa razy w roku w szkole podczas cyklicznych uroczystości organizowanych z okazji świąt majowych

Wybitnego słupszczanina Heinricha von Stephana na co dzień zajmuje się również medalierstwem i filatelistyką. Spośród pierwszych naszych przyjaciół, niosących pomoc w upowszechnianiu historii, wymienić należy także, zmarłego w styczniu, Ryszarda Klonowskiego - falerystę posiadającego przebogate zbiory z zakresu wojskowości oraz ordery i odznaczenia. To dzięki niemu wielu oglądających mogło zobaczyć między innymi Order Virtuti Militari i Orła Białego.

W kształceniu patriotycznym dzieci i młodzieży ważne jest rozbudzenie tzw. patriotyzmu lokalnego. W tym nieocenieni są między innymi: Władysław Piotrowicz - zajmujący się medalierstwem, posiadacz wielu pamiątek o ziemi słupskiej, obecny prezes słupskich numizmatyków Jan Radkowski - prezentujący m.in. medalierstwo ziemi słupskiej. Swoje zbiory podczas naszych spotkań prezentują także: Bartosz Dróbka - kolekcjoner numizmatyki polskiej, Andrzej Bezulski - posiadacz bogatych zbiorów, głównie z zakresu medalierstwa Wojska Polskiego, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Ciekawostką dla zwiedzających są zbiory Janusza Grabowskiego - posiadacza dukatów lokalnych z terenu Polski, w tym także słupskich.



Ważną cechą naszych wspólnych przedsięwzięć jest przybliżanie i uczenie historii oraz rozbudzenie u zwiedzających poczucia patriotyzmu, w tym również do małej ojczyzny. Dlatego oprócz możliwości obejrzenia, dotknięcia, wzięcia do ręki eksponatów, ważną jest też okazja do spotkania się z właścicielami zbiorów, którzy w sposób bardzo fachowy i przystępny opowiadają nie tylko o samych kolekcjach, ale mówią wyraźnie o przesłaniu, jakie towarzyszy naszym działaniom. Często odpowiadają na dziesiątki zadawanych pytań.

Przez dwadzieścia lat współpracy udało się uporządkować wiedzę historyczną oraz lepiej zrozumieć znaczenie obchodzonych rocznic i wydarzeń historycznych. W tym okresie zbiory medalierskie prezentowane były m.in. w cyklach: „Bitwy, kampanie, dowódcy”, „Wojsko polskie na zachodzie”, „Ludowe Wojsko Polskie”, „Państwo Podziemne”, „Przywódcy II RP, PRL i III RP”, „Zbrodnia Katyńska”. Numizmatyka

Przez dwadzieścia lat współpracy udało się uporządkować wiedzę historyczną oraz lepiej zrozumieć znaczenie obchodzonych rocznic i wydarzeń historycznych. W tym okresie zbiory medalierskie prezentowane były m.in. w cyklach: „Bitwy, kampanie, dowódcy”, „Wojsko polskie na zachodzie”, „Ludowe Wojsko Polskie”, „Państwo Podziemne”, „Przywódcy II RP, PRL i III RP”, „Zbrodnia Katyńska”. Numizmatyka

Przez dwadzieścia lat współpracy udało się uporządkować wiedzę historyczną oraz lepiej zrozumieć znaczenie obchodzonych rocznic i wydarzeń historycznych. W tym okresie zbiory medalierskie prezentowane były m.in. w cyklach: „Bitwy, kampanie, dowódcy”, „Wojsko polskie na zachodzie”, „Ludowe Wojsko Polskie”, „Państwo Podziemne”, „Przywódcy II RP, PRL i III RP”, „Zbrodnia Katyńska”. Numizmatyka

Przez dwadzieścia lat współpracy udało się uporządkować wiedzę historyczną oraz lepiej zrozumieć znaczenie obchodzonych rocznic i wydarzeń historycznych. W tym okresie zbiory medalierskie prezentowane były m.in. w cyklach: „Bitwy, kampanie, dowódcy”, „Wojsko polskie na zachodzie”, „Ludowe Wojsko Polskie”, „Państwo Podziemne”, „Przywódcy II RP, PRL i III RP”, „Zbrodnia Katyńska”. Numizmatyka

Przez dwadzieścia lat współpracy udało się uporządkować wiedzę historyczną oraz lepiej zrozumieć znaczenie obchodzonych rocznic i wydarzeń historycznych. W tym okresie zbiory medalierskie prezentowane były m.in. w cyklach: „Bitwy, kampanie, dowódcy”, „Wojsko polskie na zachodzie”, „Ludowe Wojsko Polskie”, „Państwo Podziemne”, „Przywódcy II RP, PRL i III RP”, „Zbrodnia Katyńska”. Numizmatyka

Przez dwadzieścia lat współpracy udało się uporządkować wiedzę historyczną oraz lepiej zrozumieć znaczenie obchodzonych rocznic i wydarzeń historycznych. W tym okresie zbiory medalierskie prezentowane były m.in. w cyklach: „Bitwy, kampanie, dowódcy”, „Wojsko polskie na zachodzie”, „Ludowe Wojsko Polskie”, „Państwo Podziemne”, „Przywódcy II RP, PRL i III RP”, „Zbrodnia Katyńska”. Numizmatyka



prezentowana była szczególnie przy okazji rocznic odrodzenia Polski („Odrodzona, Odzyskana, Niepodległa”), prezentacji postaci Józefa Piłsudskiego oraz postaci przywódców Wojska Polskiego i Armii Krajowej.

Zawsze z dużym zainteresowaniem zwiedzających spotykają się ekspozycje przedstawiające ordery i odznaczenia. Były one prezentowane w działach: „Wojna i wojsko”,

„Rzeczpospolite”, „Misje pokojowe”. Można było zapoznać się z opisami prezentowanych eksponatów, a interesującym dopełnieniem większości wystaw były zbiory bukinistyczne oraz pamiątki rodzinne. Te eksponowano na przykład przy wystawie „Konstytucje od 3-majowej do II RP”, „Twórcy II RP”, „Zbrodnia Katyńska”.

Zachęcam inne szkoły i placówki kulturalno-oświatowe do zapoznania się ze skarbami będącymi w posiadaniu słupskich numizmatyków. Szczególnie dzisiaj jest ważne, by o historii mówić w sposób niestandardowy i zachęcać młodzież do jej poznania.

Zbigniew Kamiński
Wrzeście

Jubileuszowy medal ziemi usteckiej

W grudniu 2010 roku Muzeum Ziemi Usteckiej obchodziło swój jubileusz i z tej okazji wybito pamiątkowy medal „10 LAT MUZEUM ZIEMI USTECKIEJ”.

W 1993 roku powstało Towarzystwo Przyjaciół Ustki. Jako organizacja samorządowa działająca w Ustce i okolicach zrzesza członków, dla których patriotyzm lokalny i miłość do regionu są sprawą nadrzędną. Z inicjatywy członków towarzystwa oraz przy wydatnej pomocy władz samorządowych i mieszkańców Ustki w 2000 roku zostało wybudowane Muzeum Ziemi Usteckiej. Znajdują się w nim eksponaty przedstawiające

tradycję i kulturę ziemi usteckiej. Organizowane są tymczasowe wystawy o różnej tematyce, które cieszą się dużym zainteresowaniem mieszkańców Ustki i turystów odwiedzających ten kurort.

Medal wydany z okazji 10-lecia Muzeum Ziemi Usteckiej zaprojektował prezes Józef

Jaskuła. Wykonano go z mosiądzu patynowanego, o średnicy 69 milimetrów w ilości 500 sztuk w firmie „Celstan” Stanisława Śliwy w Gdyni-Kosakowie.

Na awersie umieszczono wypukły zarys budynku muzeum, po lewej stronie, w tarczy herbowej - herb Ustki. W zewnętrznym otoku umieszczono napis: „MUZEUM ZIEMI USTECKIEJ”.

W dole: „10 lat”. Natomiast na rewersie umieszczono logo towarzystwa, poniżej datę: „1993” i napis: „Rok założenia”. W zewnętrznym otoku jest napis: „TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ USTKI”. Medal ten wręczany jest w etui z opisem powstania usteckiego muzeum.

Jan Radkowski, Słupsk



Ciekawy medal z Błogostawionym Janem Pawłem II

W ostatnim czasie nabyłem do kolekcji ciekawy medal poświęcony naszemu papieżowi, Błogostawionemu Janowi Pawłowi II.

Medal zaprojektował Stefan Jakubowski z Andrychowa, a wykonany został z mosiądzu. Jest patynowany, o średnicy 69,5 milimetrów, został wybito przez PPU „POLMET” Włodzimierza Turemki z Częstochowy, w nakładzie 50 sztuk w 2011 roku i 25 sztuk w ubiegłym roku. Emitentem jest Rodzinne Koło PTTK „Szarotka” z Andrychowa oraz powiat wadowicki. Na awersie medalu mamy umieszczone na tle gór popiersie Jana Pawła II, zwrócone w lewą stronę. Po lewej, w półotoku, w dwóch wersach napis: „Rodzinne Koło PTTK „SZAROTKA”/W

ANDRYCHOWIE”. W dole, w półotoku data: „A.D. 1981.17.052011”. Na obrzeżu, w zewnętrznym otoku znajduje się napis: „30 RAJD GÓRSKI SZLAKAMI JANA PAWŁA II”. Natomiast na rewersie, w centrum na tle gór umieszczono stylizowany krzyż z napisem poziomym: „JEZUS”. Na krzyżu są splecione dwie dłonie, po bokach, z prawej strony w tarczy herbowej - jest herb Andrychowa, po lewej stronie są dwie szarotki i inicjały” „ds/7”. W dole, w dwóch wersach umieszczono poziomo napis: „JEST NAS TROJE/BÓG,

GÓRY I JA”. W zewnętrznym otoku jest napis: „PILNUJCIE MI TYCH SZLAKÓW/POWIAT WADOWICKI”.

Można powiedzieć, że medal ten jest ponadczasowy. Mimo iż został wyemitowany w 2011 roku, to projektant przewidział, że Błogostawiony Jan Paweł II będzie kanonizowany na świętego w 2014 roku i umieścił na awersie głowę papieża na tle aureoli.

Jan Radkowski, Słupsk



KONKURS PLASTYCZNY - VI NIEKONTROLOWANY OBSZAR WRAŻLIWOŚCI
SŁUPSK, LUTY 2014



